



Józef Kabuński.

Bolko

Szczodry.

Tragedya.



BOOKS & PAPERS

Józef Kabuński.

Bolko

Szczodry.

Tragedya.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w, 42

Warszawa.

1893

<http://pau.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Іюля 1892 г.

2034

Rok 1058.

Radna komnata w Krakowie.

(*Panowie Radni*, na ławach przy stole, głośno i gwarnie rozprawiają).

Głosy.

Czy namaszczoney, czy nie namaszczoney,
Zawszeć on królem i panem jest naszym!

Inne głosy.

Księciem się zrodził, lecz królem się stanie
Z woli kościoła...

Niechaj tę wolę wyprosi, wysłuży...

Dobrogost, *kasztelan krakowski* (wstaje, głośno).

Ej, źle gadacie!... A gdyby też prosić,
Ni służyć nie chciał?

Głosy.

To królem nie będzie!

Pełka, *wojewoda krakowski*.

Będzie nam panem, choć nie namaszczoney.

<http://rcin.org.pl>

Dobrogost.

Tylko że łacniej go będzie odstąpić,
Lub z kraju wygnać...

Głosy.

To swoje ty mówisz,
Ale nie nasze!

Dobrogost.

Wy z ogniem igracie:
Nie w smak mu pójda te rządów początki,
A potem na was to wszystko się skrupi...
Ja niechcę Rady. Ja idę do króla,
Prosić, by przyjął koronę ojcowską.
Kto ze mną idzie?

(Kilka osób wstaje; zamieszanie).

Pełka.

Co na to biskupi?

Głosy.

Za kasztelanem!

Inne głosy.

Kto pójdzie, ten zdrajca!
Nie wszyscy radni swe głosy podali!

Pełka.

Ojczye gnieźniński, co ty na to rzekniesz?

Stefan, *arcybiskup gnieźniński*.

Pan to nasz rodny, dobrodziej i książę,
Ale za młody... Jam ci nie od tego,

By go uwieńczyć — lecz jeszcze nie teraz;
Teraz zawczasu: poczekać, poczekać...

(Zamięszanie wzrasta. *Aaron, biskup krakowski* wychodzi
na środek).

Aaron (*gromkim głosem*).

Rada skończona! (*cisza zalega*)

Od przeszło dwóch godzin —

Tyle słów próżnych! Dopiero to jedno

Jak ostrym mieczem przecięto wsze spory.

Więc już po radzie...

Rozchodźcie się, radni!

Dobrogost.

Radni precz pójda, gdy radę zakończą.

Wyście swe głosy podali, i tylko —

Wyście nam równi...

Aaron (*dumnie*).

My równi? Naprawdę?

Więc niech z was który mu włoży koronę,

A który drugi namaści olejem

Ramię królewskie!

Głosy.

To wasze są rzeczy...

Dobrogost.

Lecz o nich Rada stanowi — biskupom

Każę wykonać.

Aaron.

Gdybyście tu wszyscy,

W pełnej tej Radzie, wyrzekli: „namaścić!“

A nam duch boży-by rzekł: „zaniechajcie!“—
Nie byłby widział Bolesław korony.

A gdyby żaden z was nie chciał wieńczenia,

A nam-by kościół nakazał je spełnić —

Było by, święcie, choćby przeciw wszystkim!

Ojczy gnieźniński! Tyś mądre rzekł słowa:

Bolko za młody. Niech sobie koronę

Wprzód wypracuje... My jej dziś nie damy.

A wy, gdy chcecie, dawajcie ją zaraz,

Niech sobie wkłada. To tylko nie wiemy,

Czy, tak włożona, koroną mu będzie!

(Wchodzi *Wszebór*).

Wszebór.

Król idzie!

Dobrogost.

Będzie wam ciepło, panowie!

«Ochodzi na stronę; koło niego grupuje się kilka osób. —

Wchodzi *Bolesław*, z nim *Dobrogniewa*, jego matka, za nimi
drużyna i rycerze).

Bolesław (po krótkiej chwili milczenia, do
arcybiskupa).

Za sześć tygodni, w oktawę Trzech Króli,

Zjadę do Gniezna. Na dzień ten wyznaczam

Koronację.

Arcybiskup.

Jam słaby jest, panie...

Zwolnij mię, panie...

Bolesław.

Możecie w zastępstwie

Wysłać biskupa z Krakowa.

(do Aarona)

Wam, ojczy,
Cześć ta należy...

Aaron.

Słyszałem rozkazy
O koronacji z ust księcia ziemskiego;
Lecz książę niebios mi woli swej jeszcze
O namaszczeniu nie odkrył.

Bolesław (*odstępuje*).

Co mówisz?

(po krótkiej chwili)

A wy co na to, panowie? Milczycie?
Więc to tak o tem radziliście długo?
Chcecie spróbować, czy mnie, jak Mieszkowi,
Można się stawić zuchwale i hardo?
Ha, zobaczycie!

(otwiera okno)

Hola! rycerstwo! Tu radni panowie
Postanowili korony mi nie dać.
Czy wy w tem także za nimi idziecie?

(na podwórzu i na scenie między drużyną poruszenie)

Głosy.

Precz z wielmożami! Każ zdrajców rozsiekać!
Wdziej sam koronę!

Bolesław (*do rady*).

Naprawdę, nie trzeba
I dwóch słów moich, a marnie zczeźnicie!

Aaron (*podchodzi prędko do drugiego okna*).

Zbrojni biskupi! Tu do mnie! Na pomoc!
Rozpędzić zgrają!

(za sceną krzyki)

Bolesław.

Co?! Ty mnie wyzywasz?
Wszebor, do boju!

(Biegnie do drzwi; Dobrogniewa go zatrzymuje)

Dobrogniewa.

Stój! Stój! Bolesławie!
Masz-że zaczynać swe rządy królewskie
Od przelewania krwi bratniej? Alboż ci
Nic już jej nie żal? Na słowa biskupa
Nie zważaj, królu — co mu do tych ludzi?
Obcy mu legną i obca krew ujdzie...
A to krew twoja, to drogie twe mienie,
To twoje skarby... Tych skarbów marnować
Nie powinienesz!...

Bolesław.

Tak, matko, tak mówisz!

(Do Wszebora)

Zaniechać walki. Niech krzyków nie słyszę.

(Wszebor odchodzi)

Panowie radni, jesteście w mym ręku.
Mógłbym was zakuć, powrzucać do jamy,
Lub jako zdrajców rozsiekać na części...
Że tak nie czynię — dziękujcie jedynie
Słowom mej matki... Cichaczem, jak zdrajcy,

Wyście się wszyscy wymknęli z komnaty,
Gdzie jeszcze zwłoki rodzica nie skrzepte
Stoją na marach, i bunty niecicie...
Jeszcze żelazna Kaźmierza prawica
W grób nie odeszła, a już wy mnie, jego
Pierworodnemu, przeczycie korony!
Radni panowie, tej waszej wierności,
Która-m tu znalazł w dniu pierwszym mych rządów
Ja niezapomnę wam nigdy...

Dobrogost *(ze swemi stronnikami podchodzi do niego).*

Mój królu!

Wyrzuć nas z Rady, bo my z taką Radą
Siedzieć nie chcemy... Nie próżnej swawoli,
Jeno miłości ku ziemi swej pełni,
Oto pokornie do nóg ci się chylim:
Czyń tak, jak zechcesz. Twej woli jedynie
Posłuch dać chcemy, a nie czyjej innej,
Ni wojewódzkiej, ni radnej, ni księżej.

Bolesław.

Tyś, Dobrogoście, wybawił z niesławy,
Radę krakowską...
Słuchajcie, radni! Ja nie chcę korony,
Która być swoją mienicie własnością;
Mierzi mię taka. Ja sobie zdobęde
Inną, świetniejszą, sławniejszą i większą,
I sam ją wdzieję...
Chodź ze mną, matko... Na Radzie krakowskiej
Nie nasze miejsce.

(Odchodzi z Dobrogniewą i drużyną).

Dobrogost.

Wiatry-ście sieli, więc burzę poźniecie.

Krużganek zamkowy w Krakowie.

Bolesław i Wizna podskarbi.

Wizna.

Oto poborcy, mój królu, przystawy
Włodarze twoi i różni dzierżawcy
Danie przynieśli kujawskie i płockie,
I sandomierskie... Same prawie złoto...
Każesz przy sobie je w skrzynie przesypać?

Bolesław.

Syp je gdzie zechcesz.

Wizna.

Rozkażę tu przynieść,
I tu przesypać. Boję się, by czego
Nam nie uronić.

Bolesław.

Rób jak chcesz, mój stary.

Wizna.

Ojciec twój, panie, rzetelnie pilnował
Skarbca swojego. Żadna sztuka złota
Marnie nie poszła: sam ze mną odliczał,
Sam je odkładał, zamykał i chował...
I doszedł tego, że nawet bez wojny,
Miał skrzynie pełne.

(Przywołuje *dworzan* i wydaje im rozkazy. Jedni z nich wnoszą worki, inni skrzynie i podług wskazówek Wizny porządkują złoto.— Bolesław stoi zamyślony).

Wizna (*patrzy chwilę na Bolestawa milcząc*).

Chmurnyś i milczysz? Oj wiem, co się święci,
Wiem jakie dumy po głowie ci snują:
Mierzi cię pokój i życie bezczynne?
Krew niespokojna znów rwie się do boju?
Oj, warto krwi tej upuścić co nie co,
Bo nazbyt kipi...

(*podchodzi do niego*)

A dobrze pamiętam,
Jak wielki pradziad twój, w krześle wygodnem
Siedząc, w kożusku, przed ogniem, wyrzekął:
— A byłem wtedy wyrostkiem pod wąsem —
„Nie ma to, ludzie, jak ciepły kożuszek,
„Ogień i spokój“... I ty będziesz jeszcze
Tęsknił do swego kożuszka ciepłego,
I do spokoju...

(Przed chwilą wszedł **Stary kleryk**, zrobił parę kroków do króla,
lecz na widok skarbów stanął olśniony.)

Kleryk (*wzdycha jękliwie*).

Eheu! me miserum!

Wizna.

Czego ty stękasz?

Kleryk.

Eheu! Eheu! Eheu!

(Dworzanie zaczynają się śmiać z niego.)

Wizna.

Czego tak jęczysz? Czy kto cię potrafił?
A mów-że, księżu!

Kleryk (*do króla*).

O wielki mój królu!
Dusza mię srodze zabolala ninie
Na widok chwały i bogactwa twego....
Porównywając z twojemi skarbami
Moje ubóstwo, z twem szczęściem mą dolę,
Westchnąłem z żalu.

Bolesław.

Bogactw mi zazdrościsz?

Kleryk.

Ej, miłościwy, czyż może robaczek
Słonku zazdrościć? Jednakże niechaj-by
I on też błyszczał, choć jak świętojański,
Co jasno świeci, a nie jest wielmożny.

Bolesław.

Bierz tyle złota, ile unieść zdołasz.

Kleryk (*zdziwiony*).

Panie potężny, ja mam dużo siły,
Dużo udźwignę...

Bolesław.

To dźwigaj. Opończę
Zwlec z siebie, ładuj ją całą...

Kleryk.

O Deus!

Bolesław.

Nie trzep modlitwy, a zwijaj się prędko,
Bom, pomyślawszy, gotów cofnąć słowo.

Kleryk.

Broń ciebie Boże od grzechu takiego!

(zrzuca sutanę i zgarnia w nią złoto; przeładowana sutana pęka)

Heu! me miserum! O, cóż teraz pocznę?
W co teraz wezmę? O nienasycona,
Nizka chciwości! Było mi przestać
Na ćwierci tego, a snadnie-bym uniósł!

Bolesław.

Wiedz, nędzny klecho, żem od twej chciwości
Większy: nie będzie cię ona karała.
Masz tu opończę mocniejszą, a chyżo
Zbierz, coś rozsypał i uchodź z mych oczów.

(rzuca swój płaszcz klerykowi; ten go chciwie porywa i ładuje
weń złoto).

Cóż to za kleryk?

Wizna.

To lektor biskupi.

Kleryk (pakując złoto do płaszcza).

Ksądz dziekan kazał wiadomość mi zanieść...
Ale te skarby...

(podnosi się błądy, drżący)

Miłościwy królu,
Tu w twoim płaszczu co jeszcze się zmieści,
I ja udźwignę... Mam brać?

Wizna (pogardliwie)

Wszak słyszałeś?

Król ci pozwolił... Lecz z czym ty przychodzisz?

(kleryk nie słucha go, ładuje złoto, mruczając)

Czyś ty oniemiał? No, gadaj królowi!

(chwyta go za rękę)

Kleryk (z krzykiem).

Nie rusz! Nie tykaj!... To jest wszystko moje!

Wizna (ustrząsa nim).

Opamiętaj się!

Kleryk.

Ha! Co?

Wizna.

Z czem przyszedłeś?

Kleryk (wrygną mu się)

Puść!... Biskup umarł...

Wizna.

Co mówisz? Aaron?!

Kleryk

O Boże Święty!

(wrzuca na siebie płaszcz pełen złota, slania się pod jego ciężarem i z krzykiem upada; złoto się rozsypuje. — Chwila milczenia).

Bolesław

Co mu się stało?

Wizna (nachyla się ku klerykowi).

Umarł... nie udźwignął...

Bolesław (po krótkiej chwili).

Trupa do rzeki... z całym jego złotem...

(Komornicy wynoszą trupa).

Podie to plemię; bo który z nich bogacz,
Ten żądny władzy, a który ubogi,
Ten gotów duszę za złoto wymieniać.

Wizna.

Kogóż wyniesiesz następcą Arona?

Bolesław.

Dosyć już mamy Italów i Gallów —
Niech na stolicach zasiądą Polacy...
Lamberta Zulę ze Starzów wyznaczę:
Dawno na niego mam oko zwrócone...

Świetlica Dobrogniewy w Krakowie.

(*Dobrogniewa i Bolesław.*)

Bolesław.

Matko, już dosyć... Już nie mów mi o tem!

Dobrogniewa.

O jakże żal mi Wisławy tej biednej!
Ty nie wiesz, jakich samochcąc się zrzekasz
Skarbów miłości!

Bolesław.

Cóż z niemi bym począł?
Żonę przywiodłem, bo wiem, że ode mnie

Kraj tego żądał. Wiśławę szacuję,
Innej niewiasty nie chciałbym mieć w domu:
Ale z nią życiem nie mogę się dzielić...
Tak z nią jak z inną. Ni jam jest dla niewiast,
Ni one dla mnie...

(Wchodzi *Wiśława* i mały *Mieszko*.)

Mieszko (*nie widząc ojca, biegnie ku Dobrogniewie*).

Babciu! mój szpaczek już gadać zaczyna,
Już tak wyraźnie...

Dobrogniewa (*ściska go*).

Pozdrów ojca, *Mieszko*.

Mieszko.

Ach! (*przestraszony, cofa się do matki*).

Wiśława.

Idź do ojca, idź, *Mieszko*, do ojca...

Mieszko.

Nie! (*chowt się za matkę*).

Bolesław.

Przyjdź tu do mnie.

Wiśława (*szeptem trwożliwie*).

Jeżeli mnie kochasz...

Mama cię prosi...

Bolesław (*surmowa*).

Mam czekać na ciebie?

Mieszko (*botząc się podchodzi do ojca, całuje go
w kolano i z płaczem do matki ucieka*).

Matko. pójdziemy!...

Bolesław.

To chłopiec ladaco!
Daj mi go tutaj...

Wisława.

Litości, mój królu!

Bolesław (*ściąga Mieszka do siebie i mocno go stawia przed sobą; ten się zalewa łzami*).

Czy to tak długo cię prosić potrzeba,
Byś szedł do ojca?... A coś ty zaniemiał?!
A ciągle we łzach!... Idź, aż się wypłaczesz...

(odtrąca go od siebie i wychodzi).

Mieszko (*placząc, czepia się matki*).

Ja go się boję, ja tak go się boję!
Niech-by też nie był tak strasznym....

Dobrogniewa (*tuli go do siebie*).

Sierotka!

Dworzec wojewody Pełki w Proszowicach.

(*Pełka i wódarz jego Gromierz.*)

Pełka.

Któż tam się zebrał?

Gromierz.

To twoi siedlacy,
Kmiecie, rybitwy i ludzie dzierzawni.

Pełka.

Czegóż chcą oni?

Gromierz.

Nie zgadnę, mościwy...
Skarżyć przychodzą...

Pełka.

A, znowu ze skargą?
Gnać ich do licha! To plemię jaszczurcze
Wtedy spokojne, gdy czuje nad sobą
Baty lub pałę... Gnać precz ich kijami!
Gnać ich do domów!... A potem pojedziesz,
I z każdej wioski wybierzesz piątego,
I brać na spytki — kto tego ich uczył,
Tej zuchwałości...

(Wchodzi ksiądz *Przemko*, pleban z Wierzbna.)

Pleban.

Uczyła ich bieda,
Głód dodał siły, a rozpacz śmiałości...

Pełka (*do Gromierza*).

Idź. Jutro rano pojedziesz, jak rzekłem.

(Gromierz odchodzi. Do plebana)

Jużem ci mówił to razy kilkoro,
Byś milczkiem siedział i czytał brewiarze,
Gdyś taki mądry, a nie laźł nie w swoje,
Bo cierpliwości mej koniec nastanie.

Pleban.

Będzie straszniejsze, gdy ich cierpliwości
Koniec nastanie. A ma się ku temu...
Wyjdź-no ty do nich, sam z nimi pogadaj,
Sam ich rozpytaj... A może naprawdę
Twoi włodarze zanadto ich gniołą.

Pełka.

Ja nie wprowadzę takiego zwyczaju,
Bym słuchał kmieci; mam na to włodarzy:
Co oni czynią—to jakbym ja czynił,
Co oni każą — to moje rozkazy...
Nic mi już nie mów -- nie twoje to rzeczy.

Pleban (*po chwili milczenia*).

Zwolnisz Nagoda?

Pełka (*zrywa się gniewny*).

Ty znów o Nagodzie?!

Pleban (*spokojnie*).

Znowu, i zawsze gdy tylko cię widzę.

Pełka (*wściekły*).

Tyś głupi, klecho! Czyż nie wiesz, że Nagod
To wróg nasz wieczny? Gdy on na swobodzie --
Ja będę w jamie; gdym ja jest na woli --
On być powinien w zamknięciu i w więzach!
Tak było zdawna... Bo Lisy i Prosze
Na Proszowicach nie siedzą pospołu...
My albo oni! Rozumiesz to, klecho?
Za Każki czasów jam ujął Nagoda,
Spalił mu dworzec samego uwięził,

Bo jego ojciec mojego rodzica
Więził, i palił mu dworce i zamki...

Pleban.

Więc jeśli nie chcesz go z serca uwolnić,
Przez poważanie kościoła go zwolnij:
Benedyktyni piekarscy nie mogą
Modłów odprawiać, bo je przerywają
Jęki podziemne... Z Sanctissimum kapłan
Drży przed ołtarzem, gdy ryk się rozlega
Z pod nóg, jak gdyby rannego niedźwiedzia...

Pełka.

Niech no mi słówkiem poskarży się przeor,
To każę sprzątnąć Nagoda z pod cerkwi —
Bardzo daleko, z kąd krzyczeń nie będzie...

Pleban.

Twarde masz serce

Pełka.

Więc nie kuś się o to,
Był miał je zmiękczyć.

Pleban.

Są króle nad wami,
Pany wielmożne!

Pełka.

Nieprawda! Nademną
Jest król Bolesław, ale nad panami,
Wszystkimi razem, niema nigdzie króla.
Każdy z nas, panów, ma swego Nagoda...
Niech-by spróbował ich wszystkich król zwolnić,
To-by się zwolnił sam rychło z korony...

(Wchodzi *dworzanin*.)

Dworzanin.

Dworno przybyli zięciowie z żonami.

Pełka (*do plebana*).

Próżna twa mowa — nic u mnie nie wskórasz.

(Pleban milcząc odchodzi. — Wchodzą *Mikołaj* z Zembocina i *Małgorzata*, za nimi *Mściśław* z Bużenina i *Krystyna*.)

Mściśław.

Witamy, ojczy...

Mikołaj.

Witamy cię, panie...

(całują wraz z żonami rękę Pełki.)

Pełka.

Witajcie... Cóż was tu do mnie sprowadza?

Mikołaj.

Słuchy chodziły, żeś, panie, zaniemógł?

Pełka.

A cóż ci z tego?

Mikołaj.

A widzę was w zdrowiu.

Pełka (*z niechęcią*).

Co ty wiesz o tem, czy zdrów ja, czy nie
zdrów....

Mikołaj.

Więc na wyprawę z rycerstwem pójdziecie?

Pełka (*opryskliwie*).

A czyś ty przystaw, że tak dopytujesz?

Mikołaj.

Nie, panie ojcze, lecz ja ze Mścislawem
Ciągnę....

Pełka.

To sobie ciągnijcie do woli.

Mikołaj.

Więc cię prosimy, mościwy nasz ojcze
Byś nasze żony wziął pod swą obronę;
Bo Proszowice zamczyste i mocne,
Gdy nasze dworce..

Pełka.

A cóż, u kaduka!

Czym jest piastunem żon waszych cacanych?

Mikołaj.

Kłopotu z niemi nie będzie — nie małe,
Ani to dziewczki..

Pełka.

Ba! wdowy słomiane,
To jeszcze gorzej!... Lecz wasza w tem głowa...
Ja nie pojedę, bo mnie się te hece,
Na nic nie zdają.

Mścislaw.

A czemu tak, ojcze?

Pełka.

Po co wyprawę tę Bolko zamyśla?
Czego mu chce się? Brakuje mu czego?
Wszyscy na okół składają mu hołdy:
W Węgrzech króluje ten, kogo on sadzi;
Władysław czeski do nóg mu się zniżył;
W Kijowie raz już Izastawa wsadził
I nagiął karków potężnie sąsiadom,
Grody i ziemie Czerwieńskie zabrawszy.
Czegoż mu jeszcze?

(Chwila milczenia)

Mikołaj.

Król rozkazuje — my słuchać musimy,
Taki nasz urząd... Nie dacie nam ludzi?

Pełka (*mrukliwie*).

Ani jednego:

Mikołaj.

A żona ostanie?

Mściśław.

I moja także?

Pełka.

Ja córek nie gonię...

Mikołaj.

Jadę spokojny. Dzięki wam... Żegnajcie...

(Nizko mu się kłania; ten milczy. Do żony)

Żegnaj, Małgosiu, módl czasem się za mnie...



Małgorzata.

Żegnajcie, mężu. Niech Bóg was prowadzi!
Wracajcie zdrowo, wesolo a prędko...

(Mikołaj całuje ją w czoło, kłania się obecnym i odchodzi).

Mikołaj *(ode drzwi).*

Mścislawie, za mną!

Krystyna *(wiesza się mężowi na szyję).*

Ja ciebie nie puszczę!

Tyś mój, nie pański! Co ja, nieszczęśliwa,
Pocznę bez ciebie? Oj biada mi, biada!
Oj, źle mi, źle mi... Ratujcie! *(mdleje).*

Mścislaw.

O Boże!

Ratujcie!... Boże!...

Małgorzata *(krząta się koło siostry).*

Zemdlała... Podajcie

Wody czempredzej...

Mścislaw *(biega po pokoju jak nieprzytomny).*

O! wody! wody! Krystyno! Aniele!
Ocknij się! Żono! Otwórz swe oczęta!
Patrz-no—ja płacę!...

Pełka *(wstaje gniewny).*

Oj, dębczaka na was!

(odchodzi).

Krystyna *(budzi się).*

Jeśli mej śmierci nie żadasz — pozostań...
Ja cię nie puszcę!...

Głos Mikołaja (*ze dworu*).

Hej! Bywaj! Mścisławie!

Mścisław.

Idę!... Bądź zdrowa!...

(Ściska namiętnie żonę, rozrywa jej ręce, na swej szyi splecione,
i ucieka. — Krystyna zanosi się od płaczu.)

Małgorzata (*w oknie, z uśmiechem*).

Niech Bóg prowadzi cię, drogi małżonku!

(chwila milczenia.)

Już siedli na koń... Ruszyli.. Już w bramie...

Krysto, twój Mścisław powiewa ci chustą...

Krystyna.

Nie chcę go widzieć.. On nie mąż — okrutnik!

(płacze.)

Małgorzata (*drżącym głosem*).

Już zawracają .. Za górę wjechali...

O Boże wielki! (*wybuch płaczem*)

Krystyna (*zdziwiona*).

Małgosiu, ty płaczesz?

Ty płaczesz także? A skądże u ciebie

Te łzy się biorą? Dopieroś pod oknem

Zębki szczyrzyła...

Małgorzata.

Ileż mię kosztował

Ten gorzki uśmiech!

Krystyna.

Ale całą drogę,
Gdy ja tonęłam we łzach, tyś spokojnie
Z mężem mówiła... Co tobie się stało?
Ty teraz płaczesz?

Małgorzata.

A twojeż, Krystyno,
Łzy, czy już wyschły?

Krystyna (*wstaje*).

Łzy moje? Naprawdę,
Nie będę płakać po tym niewdzięczniku!

(*płacze*)

Ja go nie cierpię!... Zły, Mściśław, okrutny!

(*płacze. Wchodzi Zaklika i Elżbieta.*)

Elżbieta.

Witajcie, siostry.... Płaczecie? Dla czego?

Krystyna (*rzuca jej się na szyję*).

Halszko! O Halszko! Tyś z nami, o luba!

Elżbieta (*całuje obie*).

A no, mój dziadek z chorągwią wyrusza,
Chciał mię zostawić, lecz jam też nie głupia,
Żebym ostała: uparłam się jechać
Na dwór królowej — i oto mię wiezie.

Krystyna.

Co ci po dworze? Zostań lepiej z nami:
Nas ojciec przyjął... My tu przebędziemy
Całą wyprawę...

Elżbieta.

Ty także, Małgosiu?

Małgorzata.

I ja.

Elżbieta.

A płaczesz! Ej, zawsześ jednaka!

(do męża)

I czegoż stoisz? I cóż na mnie patrzysz?
Idź ojca szukać..

Zaklika.

Helżunio, odjeżdżam...

Elżbieta.

To jedź już sobie... A ruszaj do ojca.

Zaklika.

A gdzie jest ojciec?

Krystyna.

U siebie zapewne.

(Zaklika odchodzi.)

Elżbieta.

O Krysto, Krysto! O jakżem nieszczęsna!
Cała ma młodość przechodzi tak marnie
Przy tym obmierzłym Zaklice!

Małgorzata.

Co mówisz?

Elżbieta.

A cóż mam skrywać? Wam dobrze—wy macie

Wszystko co chcecie — ja nic nie mam zgoła,
Nic nie mam zgoła!... Ha, jam też gotowa
Lada kmieciowi lub słudze zawisnąć
Na młodej piersi, by męża w nim znaleźć...

Małgorzata.

Upamiętaj się!

Elżbieta.

Niecierpię kajdanów,
Co mię zakutą przy próchnie trzymają!

Krystyna.

Cicho! Ktoś idzie...

(Wchodzi *Kachna* szafarka, za nią *Gromierz* niesie tacę z owocami i miodem).

Kachna.

A stare wspomnijcie,
Wy, łabędzice białutkie! Skosztujcie
Moich zapasów... Czy dawne to czasy,
Gdyście wy we trzy, przez okienko wlaższy
Do mej śpiżarki, jak dzikie Jaćwieże
Pustoszyłyście!... Hej, hej! miły Boże!
Czemuż to żadna z was niema dzieciątek?
Moja śpiżarka znów pełna; a któż ją
Będzie rabował?

(*Gromierz* odchodzi. Podchodzi do *Elżbiety*).

Skosztuj-że ty, pani...
Kijowski owoc... Lubiłaś go przecie...

Elżbieta.

A kto ten chłopak?

Kachna.

To Gromierz, dziecino,
Gromierz, zabyłaś?

Elżbieta.

Ach, Gromierz! No patrzcie,
Jak to wyrosło!

(wchodzi **Zaklika**).

Zaklika.

Już pora... odjeżdżam...
Ty możesz zostać u ojca, Helżuniu...
Siostry, żegnajcie...

Krystyna.

Żegnajcie!

Małgorzata.

Bóg prowadź!

Zaklika.

Bóg z tobą, Halszko...

(chce ją pocałować)

Elżbieta (*odtrąca go*).

Przy ludziach?! Oszalał!

Zaklika (*patrzy na nią czule, trzymając jej rękę*).

O niewolniku swym starym pamiętaj...
Bądź zdrowa, żono... Skarbem rozporządzaj
Po swojej woli ..

(wraca ode drzwi)

Żegnaj mi, Helżuniu!

(wyciąga do niej ręce, ona się odwraca; on wzdycha ciężko, macha ręką i prędko wychodzi.)

Małgorzata.

Biedny Zaklika!

Elżbieta (*szepce*).

Bodaj nie powrócił!

Rok 1071.

Sala na zamku krakowskim.

(Wchodzą *rycerze i drużynnicy*. — *Zaklika* niesie chorągiew królewską; *Mikołaj z Zembocina* niesie miecz. — Za nimi *Mściśław z Bużenina i Sieciech*.)

Mściśław (*do Zakliki*).

Nie zapomnijcie królowi rzec słówko
O mnie, chorąży.

Zaklika.

Stój tutaj, przy boku.

Mikołaj.

Co to pomoże? król gniewny na Pełkę,
Więc Pełkowicom dostanie się także.

Mściśław.

Ty się jednakże nie boisz...

Mikołaj.

A kto ci
O tem powiedział? Jest starszych tu dużo,

I ci się boją... Ot spytaj Zakliki:
Na całym świecie on tylko jednego
Króla się boi...

Mściśław (*półgłosem*).

I swojej Helźbiety.

Sieciech.

Ha, stryj Zaklika odmłodniał! Patrzajcie,
Jak dzielnie ujął chorągiew...

Zaklika.

Mieszkowi

Jam chorążował, gdyś ty nie żył jeszcze...

Pańska chorągiew do rąk mi przyrosła.

Mściśław.

Że też to ojciec nie przybył!

Mikołaj.

Podobno

Stary od niego poselstwo odprawi...

(Dzwony.)

Mściśław.

A cóż się stało?

(Wchodzi *Kanclerz.*)

Kanclerz.

Obran nowy biskup.

Wszyscy.

Kto?

Kanclerz.

Szczepanowski Stanisław.

Bołko Szczodry.

Mikołaj. (*zdziwiony*).

Chudzina?!

Kanclerz.

Tak chciał Bolesław.

(*Wchodzi do wewnętrznych pokoi.*)

Sieciech.

Nie długo się cieszył

Zula swą mitrą...

Zaklika.

Posłuchaj-no, Sieciech,

Czy Szczepanowski ten czasem nie z tamtych,

Z któremiś sądził się o włókę ziemi

Gdzieś w Piotrowinie, czy też w Blizkowicach?

Sieciech.

Z tamtych jest, stryju.

Mikołaj.

Lecz to jest ród kmiecy!

Zaklika.

No, no, co na to-by Zula powiedział:

Bez zawołania, gołota, syn kmiecia,

Wkłada infułę i bierze pastorał

Po nim, Toporze!

Sieciech.

Słyszeliście stryju,

Co rzekł ksiądz kanclerz: tak chciał król Bolesław!

(*Dworzanin wchodzi.*)

Dworzanin.

Król miłościwy!

(Otwiera drzwi na ścieżaj. Wchodzi *Król z Izasławem*; za nimi *Dobrogniewa, Wisława z Mieszkiem* i dworskie *kobiety*.)

Głosy.

Na długie żyj lata!

Król.

Zdrowi, rycerstwo!

Zaklika (z chorągwią w ręku przykłęka przed królem).

Mój królu i panie!

Otom znów tutaj. Już dałeś mym starym
Kościom wypocząć. Już dziś, wydobrażył,
Staję przy tobie, jak stałem przy ojcu
I dziadzie twoim...

Krół (kładzie mu ręce na ramiona).

Żyj długo, Zakliko!

Wierzę, że póki będziemy pospołu,
Wróg nas nie zmoże...

(Zaklika wstaje.)

I tyś jest, Mikołaj?

Mikołaj.

Nie ma tak mocnych łańcuchów, mój królu,
Które-by mogły mnie w domu powstrzymać,
Gdy ty wyruszasz.

Zaklika.

Miłościwy królu,
Przyjmij ode mnie poselstwo pokorne...

Król.

Od kogo, stary?

Zaklika.

Od teścia mojego.

Król (*marszczy brwi*).

Od wojewody? Gdzież ten wojewoda?
Czy jego urząd, na swoim dworzyszczu,
Siedzieć, gdy hufy krakowskie ruszają?
Czegóż chce Pełka?

Zaklika.

Byś względny był, prosi,
Jego starości; byś raczył darować,
Że z łoża zwlec się nie może, ni pełnić
Swych obowiązków, i za to nie karał.

Król.

Wszebór! ty będziesz mi wojewodował.
Przed wojewodą niech stanie kasztelan.

Wszebór.

Służby me ściele pod stopy twe, panie.

Król.

Dobrześ poselstwo swe sprawił, Sieciechu.
Masz łańcuch złoty... A jesteś od dzisiaj
I podkomorzym i wojskim krakowskim.

Sieciech.

Dzięki ci, panie!... Pozwól iść za tobą...

Król.

Musisz pozostać. Władysław nie ciągnie, —
A cóżby począł tu w mieście bez ciebie?

(Zaklika i Mikołaj prowadzą przed króla Mściława, który kłęka.)

Zaklika.

Przyjm ku swej służbie, miłościwy królu,
Szwagra naszego.

Mikołaj.

To Mściław z Różyców,
Jest mężem córki Pełkowej Krystyny.

Król.

Rad-em ci, Mściław. Dostąp tej powagi
Co obaj starsi szwagrowie, a będziesz
Również mi wdzięcznym i miłym.

Mściław.

O królu!

Choć-em nie wojak, lecz pod takim, jak ty,
Wodzem i mnich się w witezia zamieni!

(We drzwiach zamieszanie. Wchodzi *Duchowieństwo*. Na czele jego kroczy *Biskup Stanisław*. Obecni, prócz króla, kłękają. Biskup błogosławi wszystkich, potem podchodzi do króla i kłęka przed nim.)

Biskup.

U nóg twych kłękam, miłościwy królu,
Pełen wdzięczności, lecz i pełen trwogi,
Ażali sprostam nowemu zadaniu.
Czy będę umiał, prowadzony dotąd,
Innych prowadzić? Azali-ż potrafię

Być twą prawicą, twem dobrem natchnieniem?
Czy będę umiał zgadywać twe myśli,
I drogi serca twojego poznawać?
Królu i panie! Wyniosłeś mię z prochu
Na tron; włożyłeś na wątle me barki
Ciężar olbrzymi... Jeżeli przedwcześnie
Pod nim nie padnę, przyrzekam ci, królu,
Że samowiednie ni na krok jedyny
Ze szlaków służby kościelnej nie zбочę;
Że, broniąc wiary i cerkwi mej, stanę
Przeciwko wszystkim — nawet przeciw tobie!

Król.

Dobrześ powiedział. Chcę, byś twym kościołem
Rządził rozumnie, cnotliwie i godnie...
W obronie wiary ja stanę przy tobie,
W obronie prawdy ty stój zawsze przy mnie.
Chcę, gdy powołam do rady cię mojej,
By twoje słowa, bezwzględne i szczerze,
Nie oszczędzały nic... Masz-li odwagę
Zawsze mi prawdę rzetelną powiadać,
Chociaż-byś wiedział, że jest mi niemiłą?

Biskup.

Mam.

Król.

Wstań, biskupie.

(Biskup wstaje, król go całuje.)

Tem pocałowaniem

Ja cię namaszcza na ciężką twą służbę...
Rządź krajem razem z Pełką wojewodą;

W rzeczach ważniejszych naradzaj się z matką,
A w najważniejszych — szlij do mnie posłańców.

(do Izaśława)

Bądźcie mi gościem, miłościwy kniazi�...
Sprawę tej krzywdy, co wam wyrządzone,
Biorę w swe ręce.

Izaśław.

Niezawodne ręce!
Całą mą przyszłość spokojny w nie składam.

Król.

Teraz — żegnajcie!

(Zaklika podnosi chorągiew. Rycerstwo za sceną intonuje „Bogarodzica“.)

Biskup (*wznosi ręce*).

Niech Bóg was prowadzi!

Król.

Matko, żegnajcie...

Dobrogniewa (*ściska go*).

Gorące modlitwy
Będziemy ślali w niebiosa za ciebie...

Wisława (*we łzach, schyla mu się do nóg*).

Aż do powrotu twojego, mój królu,
Nie zwlekę z siebie szat wdowich-żałobnych!

Król.

Żegnajcie, pani.

(Kładzie rękę na głowie syna)

Gdybym nie powrócił —
On będzie królem... A gdzie jest Władysław?

Sieciech.

W tumie się modli---zabiegnie ci drogę...

Król.

Na koń! Żegnajcie!

Obecne na scenie rycerstwo łączy swe głosy w śpiewie ze stojącym na dworze. Król nie oglądając się wychodzi; za nim wszyscy. Pozostają królowe i Mieszko.)

Mieszko (*tanie ręce*).

Ojciec pojechał, a jam go nie żegnał!

Wisława.

On wróci, synu...

Mieszko.

Lecz on o tem nie wie,
Żem, krzyżem leżąc, noc całą się modlił
Za jego zdrowie... Że bardzo go kocham...

Dobrogniewa.

Pan Bóg wie o tem; pan Bóg mu policzy
Twoje modlitwy...

(Krzyki i pienia coraz się oddalają.)

Módlmy się za niego.

Mieszko (*klęka przy niej i składa ręce do modlitwy*.)

Boże najświętszy! Chroń ojca mojego!

Puszcza.

Na środku sceny niewielkie wolne miejsce, na którym widać zgliszcza spalonego drewnianego kościołka. Pośród nich zakratowany otwór do jamy.

— Gdzieniegdzie jeszcze bucha płomień.

(Za sceną krzyki i zgiełk walki. Kilkoro *kmieci* przebiega scenę.— Po chwili wchodzi władyka *Czał*, wstępuje na środek ruin i zaczyna trąbić w róg, który ma przez plecy zawieszony.—Powoli ze wszystkich stron schodzą się ludzie z gminu, *kmiecie*, drobni *władycy*, *zagrodnicy*. Czał trąbi, aż się cała scena napelnia. Ostatni wchodzi władyka *Midura*).

Midura.

Jeszcze nie wszystkie z tych popów wycięte. .

Czał.

Na wiec! Hej, na wiec! Na wiec pospolity!

Głosy (z poza sceny, coraz dalsze).

Hej, na wiec, ludzie! Na wiec, ludzie! Na wiec!

Midura.

Rzezać ich dalej!

Czał.

Wiecować będziemy!

Hola! Zaniechać pogoni! Niech ujdzie

Wrogów kilkoro, by miał kto roznosić

Wieści o klęsce.

Midura.

Wyrzezać do nogi!

Czał.

Kto-by się ruszył, łeb temu rozwałę!
Na wiec, powiadam!

Midura.

A ja każę rzezać!
Wyrzniemy wszystkich—a wtedy na wiece...

Czał (*podnosi na niego siekiere, ale się wstrzymuje i spuszcza ją ku ziemi*).

Stójcie, czekajcie... Nas wprzódę rozsądzicie...
Wiecu ty wielki, stanów, kto ci będzie
Głową, kto ręką...

Głosy.

Oba-ście nam głową!

Czał.

Tak być nie może. My sobie-śmy równi:
Ja każę stanąć, a on każe ruszać;
Ja chcę na Kraków, a on na Sandomierz;
Ja pędzę ludzi na nory klasztorne,
A on na panów... Gdy dalej tak pójdzie —
Wszyscy zginiemy. Nam głowy potrzeba,
A my obadwa, jak dwie ręce, równi...
Rozsądź nas, wiecu: kto z nas ma być większym?

(W tłumie powstaje głuchy szmer.)

Parę głosów.

Gdzie ojciec Radoch? Niech on pierwszy mówi...

Głosy.

Ojczy Radochu! Prowadźcie Radocha!
On pierwszy mówi!...

(Dwóch ludzi wprowadza prawie stuletniego kmiecia *Radocha*, ślepego, z długą białą brodą, odzianego w łachmany i łapcie. Czał i Midura zstępują niżej i stoją koło niego.)

Czał.

Czy słyszałeś, ojcze?

Kogo z nas stawisz kniazem? Jam z Kraśnika
Czał Gościeradów... Zastugi mam wielkie,
Bom lat dwadzieścia wysiedział w ciemnicy,
A włości moje córki rozszarpały,
Gdy szły za panów... A w te lat dwadzieścia
Żadna człowiecza dusza nie zajrzała
Do mnie. Co psy nie dojadły na dworze,
To mnie rzucano... Ha, czasem zięciowie
Krzyczeli ku mnie: „nie chcesz zdychać, stary?”
Tylem też tylko słyszał ludzkich głosów...
Córki podobno pomarły już dawno;
Nic o nich nie wiem...

Midura.

Mnie syn sprzedał panu,
Dał w dyby zakuć... A było to wtedy,
Gdy Każko wracał... Syn do mnie przychodził,
Mamił mię nową swą wiarą niemiecką;
A gdym jej nie chciał, przeklął mnie, wziął na
[się

Czarne ubranie i w klechę się zmienił...
Jam jest Midura z Raławów Opolskich.
Ojca mojego znałście — prowadził
Woje Masława; dziad wojewodował
Przybuwojowi... Bośmy wszyscy z rodu
Wrogi i niemców, i panów, i królów...

(Chwila milczenia).

Głosy.

Kto z nich godniejszy? Równi są boleścią...
Ojczy Radochu, który będzie kniazem?

Radoch.

A gdzie jesteśmy?

Głosy.

W Proszowickich borach.

Radoch.

A w którym miejscu?

Głosy.

W Piekarskiej nizinie.

Radoch.

A gdzież jest klasztor białych zakonników,
Co tu zbudowan?

Głosy (*tłumnie i radośnie*).

Z dymem poszedł, ojczy!
Mnichy wyróżnione... Kościół w gruzach leży...
Na jego gruzach ty siedzisz, Radochu!

Radoch.

A więc nie darmo mi noc dzisiaj całą
Duchy i widma spoczynku nie dały!...
On tu być musi... I w życiu i w zdrowiu...

(wstaje)

Hej tam, z młodzieży! Szukajcie, w zwaliskach
Musi być otwór do jamy Proszowej...
Tam siedzi książ wasz...

Głosy.

Jest dziura w żelazie...

Radoch.

Cicho... Prowadźcie mnie, ludzie... W tej jamie
Książ i władcyka Proszowej zamknięty...

(prowadzą go nad otwór jamy. Wszyscy kupią się koło niego
ciekawie).

Kniaziu Nagodzie, czy ty jeszcze żyjesz?

(milczenie).

Kniaziu Nagodzie, bracia cię wołają!
Ziemia cię woła, chodź ziemię ratować!

Głos z jamy.

Odstąp się, leszy!

Czał.

Żyje! Do roboty!

Wyciąć mu otwór naokoło kratak...

(kilkoro kmieci wyrębuje otwór około jamy.)

A nie żałować toporów, ni drzewa,
Bo Nagod duży, szerokiego ciała. .

Radoch.

Kniaziu, wychodźcie!

Głos.

Nie wyjdę!

Radoch.

Wychodźcie!

Na świat, na wolę, na słonko, na bitwy!

Głos.

Zczeźnij! Nie wyjdę!... Takie wdzięczne głosy
Nie raz słyszałem... Słyszałem pożary,
Wyraźbywanie mych zapór, a potem
Głosy, wołanie na wolność, na życie...
I ja się piąłem do nich, pazurami
I kłami ścian się czepiając... Padałem...
A potem znowu wołało, i znowu
Lazłem na ściany bez tchu i pamięci...
A dziura była zamknięta, jak pierwiej!

Czał.

Patrz! Widzisz otwór? Jam ci go wyrąbał—
Przez niego widne ci niebo i lasy...

Głos.

A! gdym się tarzał tu w swojej posoce,
Przez otwór widne mi było i słońko
I niebo sine i drzewa zielone...
Zapach tu moich sosen dolatywał!...
Wszystko to było mamidło czartowskie,
Tak, jak i teraz!... Przepadnij, poczwaro!
Już dziś mię na to nie złapiesz, nie złapiesz!..

Czał.

Ja cię przekonam... Kiedyś miał miecz w garści?

Głos.

Wczoraj, onegdaj... Co dzień, co noc Dziwy
Znoszą mi miecze, topory i strzały...

Czał.

To we śnie, stary...

(odpasuje swój miecz).

Głos.

O! bo ich nie ujmę!...

Czal.

Ten ujmiesz przecie...

(Rzuca mu swój miecz. — Chwila milczenia. — Z jamy wychodzi głośny okrzyk.)

Co tam się stało? Nagod?

Głos.

Kto mię woła?

Czal.

Radoch, Midura, Czal i wszyscy kmiecie...

Głos.

Ten mię uranił, ten ciężki!.. Bogowie!..

Czal.

Sam wyjść nie zdoła... Spuszczajcie mu kłodę ..

(Kmiecie spuszczają do jamy belkę. Po chwili z niej się pokazuje, wyłaząc z trudnością, *Nagod*. Jest-to starzec przeszło 80-o letni, prawie nagi, z długimi siwymi włosami i dużą białą brodą.--Obecni witają go okrzykiem radości i wynoszą z jamy.)

Nagod (*roztwiera ramiona*).

O wola, wola!

(upada na ziemię).

Radoch.

Macie teraz kniazia.

(odchodzi).

Czał.

Kniaziu! Nagodzie!

Midura.

Kniaziu! Druhu stary!

(Nagod z trudnością się podnosi przy pomocy obecnych; usiada na kłodzie opalanej, miecz trzymając między kolanami).

Nagod.

Nic, nic... To przejdzie... Światło oślepiło,
Woń lasów oddech mi zatamowała,
Wola mi głowę odurzyła... Tylem
Lat już w niewoli był, ziemią oddychał,
Ciemności widział... llem siedział w jamie?

Czał.

Lat ze trzydzieści...

Nagod.

Tak... lat ze trzydzieści
W jamie siedziałem... Kto dzisiaj panuje?

Czał.

Szczodry Bolesław

Nagod.

Z rodu Piastowego?

Czał.

Syn Kazimierza,

Nagod.

Sprośne wilcze plemię!
Musiał się wdać w Bolesława Grubego,

Gdy dał mię w jamie tak długo wytrzymać...
Ktoście wy? Liców nie mogę rozpoznać,
Lecz głosy znane...

Czal.

Jam Czal.

Midura.

Jam Midura...

Nagod.

Czalu! Miduro! Więc znów górą kmiecie?

Midura.

Znowuśmy górą. Patrz, ile tu naszych —
A będzie więcej. Rozbiegli się ludzie,
Z więzów zwalniają i z jam wyrąbują.
Słyszno, że Czoran już jest na wolności;
Działosz wypuścił swych kmieci na Szlązko...
Słuch o wolności po ziemi się rozszedł...
Panowie zbiegli, kasztele znów górą,
Klasztory górą... A Bolko nic nie wie,
Siedzi na Rusi... Znów nasza jest górą,
Kmieci, władków i wiary rodzimej!

Czal.

Dwory w płomieniach: Podgaje spalone,
W Skalmierzu kmiecie setnika zabili,
Jaksy uciekli, Książ zgorzał... A cała
Pełki dziedzina toporem i ogniem
W niwecz zwalona...

Nagod (*wstaje*).

I z Proszowicami?

Bolko Szezodry.

Czal.

Nie, te obronne. Pełka naszej sile
Nie bardzo wierzy: lecz z białych wiedunów,
Cośmy wycięli tu nad twem więzieniem,
Dwoje uciekło, to mu opowiedzą.

Nagod.

A gdzie jest Pełka? Czy żyw?

Czal.

Na Krakowie

Jest wojewodą.

Nagod.

I siedzi w Proszowej?

Czal.

Siedzi...

Nagod.

Więc prowadź nas na Proszowice!
Gdzie twoje woje?

Czal.

Pod karczmą Zębocką...

Lecz tu się ludzie zebrali na wiece
Kniazia stanowić... Ty będziesz nam kniazem!

Głosy.

Prowadź, Nagodzie!

Midura.

Kniaziu miłościwy,
Czołem ci biję!

Nagod.

Jam stary, osłabły...
Żyję za ledwie...

Czal.

Gdy Pełkę obaczysz
Wróci ci siła i lat ci ubędzie...
Tyś naszym kniazem! Niech żyje kniaź Nagod!

Tłum (*otacza Nagoda*).

Tyś naszym wodzem, tyś kniazem, Nagodzie!
Prowadź na Pełkę! Górą nasz kniaź Nagod!

(radośne okrzyki. Unoszą Nagoła.)

Proszowice. Dworzec Pełki. Świetlica Elżbiety. Wieczór.

(*Kachna* szafarka wchodzi, otwiera okna; potem idzie zamknąć drzwi do ogrodu. We drzwiach staje *Gromierz* z koszem kwiatów.)

Kachna (*w strachu odstępuje*).

Bodaj-byś zdechł, ładaco! A to mię przestraszył!... Po co ty tutaj? (*Gromierz milcząc chce ją usunąć i wejść; ona broni mu wejścia, czepia się drzwi*). A za się, łotrze! A za się, świniu sproсна! On się wpycha do świetlicy pańskiej? A za się, mówię!

Gromierz.

Ej, lepiej puśćcie, bo was tak trzepnę, że wam trzy słońka w ślepiach zabłysną...

Kachna (*czepia się go*).

Lotrze! paskudo! Wieprzaku brudny! Jabym cię miała wpuścić do świetlicy paninej? Żmijo! Ja ciebie chwyćę się zębami, jeśli rąk mi nie puścisz; ja się na tobie powieszę Gwałtu! on bezcześci świetlicę pani! Gwałtu!

Gromierz (*zatyka jej usta ręką i wnosi ją do pokoju*).

Cicho, stara wiedźmo! Jak kurczę uduszą!

Kachna (*wyrywa się*).

Bodaj-byś ty zczeźł, nicponiu! Bodaj cię wściekle wilki pożarły!... A łapa żelazna jak u niedźwiedzia... Ty, ty... poganinie!... Czego ty chcesz? Postaw kosz i ruszaj precz do czworaków.

Gromierz (*stawia kosz*).

Nie, ja zostanę tutaj... Doczekam pani...

Kachna.

W imię wszystkich świętych, tyś chyba naprawdę oczadział! Ty, chłop, brudne kmiecisko, masz czekać w świetlicy pańskiej... Czekaj, ja cię dojadę, będziesz pamiętał, będziesz widział...

(*chce odejść*).

Gromierz (*wyjmuje z zanadru naszyjnik perłowy*).

Perły urjańskie...

Kachna (*zatrzymuje się*).

To co?

Gromierz.

Będa wasze...

Kachna.

Za co?

Gromierz.

Idźcie stąd...

Kachna.

Tylko tyle?

Gromierz.

Tyle.

Kachna.

A ty?

Gromierz.

Ja zostanę.

Kachna.

A co na to pani powie?

Gromierz (*zicha*).

Słuchajcie, matko... Dajcie mi z panią się rozmówić... Raz tylko jeden z panią pogadać...

Kachna.

Aha! Będzie ona z tobą gadała!

Gromierz.

Moja w tem głowa. Wy tylko nie przeszkadzajcie...

Kachna.

A jak cię za to na pal każe wsadzić, a mnie ówci
czyć?

Gromierz.

Nic nam nie zrobi...

Kachna.

Nic nam nie zrobi? Takeś tego pewny?

Gromierz.

Niech-no tylko z nią mówię...

Kachna

A jeśli... Cicho! Nadchodzi...

Gromierz.

Weźcie to sobie... *(rzuca jej naszyjnik.)*

Kachna *(łapie go w powietrzu).*

Uciekaj...

Gromierz.

Nie...

Kachna.

Głupi baranie! Idą wszystkie trzy... Ukryj
się w ogrodzie...

Gromierz.

Dam jeszcze grzywny...

Kachna.

A idź-że do licha!

*(wypycha go do ogrodu, naszyjnik chowa za nadrę, kwiaty za-
krywa chustą.)*

Cacany chłopak: wąsik hebanowy, liczko jak malina... Ha! niech się zabawi... Od starego męża młoda podwika nie ma się bawić, to któż się zabawi?

(Usuwa się. Wchodzą *Małgorzata. Krystyna i Elżbieta*, córki *Pełki*).

Elżbieta.

Gośćmi mojemu jesteście, siostrzyce,
Więc się rozgoście... Proszę, bardzo proszę...

Krystyna.

Jakże tu wonno u ciebie, Helżusio!

Elżbieta (podchodzi do okna).

Wiosna! Bzy pachną i czeremcha pachnie,
Kwitną jabłonie, jaśminy i fjołki...
Wonią miłośną przesiąkło powietrze...
Słowik!... Słyszycie?... Wiosenne zapachy,
Wiosenne dźwięki...

Małgorzata.

Była także wiosna
Gdy mój Mikołaj wychodził na wojnę...
Bóg wiedzieć raczy, czy dużo tych wiosen
Minie, nim wróci...

Elżbieta.

A ciągle o mężu!...
Jak ci się to nie naprzykszy, Małgosiu?

Krystyna.

Wiesz, gdy odjeżdżał Mikołaj z Mściśławem,
Ona mu ząbki na „żegnaj“ szczerzyła;
Dopiero potem, gdy już odjechali,
Płakać zaczęła i — płacze do dziś-dnia.

Małgorzata.

A tyś zawisła na szyi Mściśława,
Nie chcąc go puścić, żegnałaś go łzami —
Teraz się śmiejesz...

Krystyna.

Bo mój niepotrzebnie
Wcale pojechał; nie jest na urzędzie...
Winien był zostać dla łez swojej żony.

Małgorzata.

O siostró, siostró! Nie łez naszych słabych,
Lecz powinności swej mąż słuchać musi.

Krystyna.

A my-ż od czego?

Małgorzata.

Byśmy osładzały
Jej wypełnienie — choćby z bólem naszym ..

Krystyna.

O, tyś skarbnica nieprzebrana cnoty...
Może spokojnie twój mąż cię odjechać,
Gdy my z Helżusią... Bóg wie, co nas może
Spotkać bez mężów .. My biedne sieroty
Siły nie mamy się oprzeć...

Elżbieta.

Pokusom;

Możesz rzec śmiało.

Małgorzata.

Wy obie bluźnicie

Bogu i cnocie!

Elżbieta.

Już więcej nie powiem...

Krystyna.

Ależ, Małgosiu, zgodź się: gdyby tutaj
Paroch był młody, z pewnością i tobie
Było-by milej i wdzięczniej... Nieprawdaż?
Wyznaj to sama...

Małgorzata.

Spać idę. Żegnajcie.

(całuje obie je i odchodzi.)

Elżbieta (*w oknie*).

Wiosna, Krystyno!

Krystyna.

A my same, Halszko!...

Elżbieta.

Kzysto! Mnie na płacz się zbiera... O czemuż,
Czemuż-em ja, tylko ja, nieszczęśliwa?
Ty masz Mściława, Małgoś—Mikołaja...
A jam oddana przebrzydłym pieścotom
Starca! Krystyno. pożądam miłości!

Ja jej nie znałam ni razu w mem życiu,
Chcę jej, o chcę jej, na śmierć chcę, Krystyno!
W lecie i w zimie, to jeszcze się trzymam,
Jeszczem jest swoja... Lecz wiosna, ta wiosna
Takie palące pragnienia mi zsyła,
Że głowę tracę, usycham, szaleję!

Krystyna.

Nie skarż się, Halszko: to dola nas wszystkich...
I ja na palcach policzyć-bym mogła
Ile dni w roku mój mąż w domu siedzi.

Elżbieta.

Ale, gdy w domu, to tak cię wyściska,
Tak wyczuje, że stać ci na długo...
A ja? czy stary jest w domu, czy nie jest...
Ja wolę nawet, gdy w domu go nie ma,
Bo nim się brzydzę... Co? ty już odchodzisz?
Krysto! I znowu ja sama zostanę?
Oka nie zmruję...

Krystyna.

A ja ze znużenia
Ledwo się trzymam.

Elżbieta.

Toś tak spracowana?

Krystyna.

Albośmy dziś od południa do tychezas
Nie objędzwały proszowskiej nowiny?

Elżbieta.

Prawda. Lecz mnie to wiosenne powietrze
Ani usypia, ni nuży -- upaja...
Ale już dosyć... Dobranoc, dobranoc,
Senna kureczko!

(całuje ją mocno kilka razy)

A choć kobiecinę
Mocno wyściskać, gdy chłopca nie można...
Jakaś ty smaczna! Szczęśliwy twój Mścisław!

Krystyna.

A wygadujesz! Dobranoc...

Elżbieta.

Dobranoc...

Jeszcze raz jeden...

(całuje ją)

Przyjemnych ci marzeń...

(Krystyna odchodzi.)

I znowu-m sama, i znowu noc długa,
Łez gorzkich pełna, i snów tych rozkosznych,
I jawy strasznej, szalonej tęsknoty!...
A tu te trele, a tutaj ten zapach...
Zkąd taki zapach w pokoju? Mnie duszno!

(zrzuca z siebie wierzchnie ubranie)

Precz z tem czółenkiem! Precz z czepkiem
[niewieścim!

(zrzuca czepek)

Jam nie niewiasta — jam jest dziwo-żona,
Jam jest ruszałka, bogińska jam leśna...
Niechby „on“ przyszedł! Na śmierć-bym pie-
[szczotą
Załaskotała, zdusiła, spaliła!

(rozpuszcza włosy, staje w oknie)

Gdzieżeś ty, gdzieżeś? O przyjdź, mój rycerzu!
Przyjdź, czarnobrewy, mój młody, mój luby!
Wyrwij mię siłą z rąk smoka dzikiego,
Zabierz mię z sobą, za ręce weź białe,
Prowadź do nieba, ramieniem mię otul,
Pieść mię i całuj, przyciśnij do siebie,
Mocno, o mocno! Na ustach cukrowych
Twoich zawisnę, do piersi twej białej
Przylgnę całując!... Ah, kochać! ah, kochać!

(z ogrodu wchodzi *Kachna*, odkrywa kosz z kwiatami i stawia go na stół, a sama usuwa się i niknie w drugich drzwiach. *Elżbieta* jej nie widzi.)

Nie! Nie wytrzymam! Ja szалу dostanę!
Kamień na szyję—i na dno piaszczyste —
Jeden raz koniec!

Te kwiaty?! Zkąd kwiaty?
Czy mi się marzy? Kto przyniósł te kwiaty?

Kachna (z ciemnego kąta szepce).

Gromierz je przyniósł... On tu jest, i czeka
Twoich rozkazów...

(odchodzi).

Elżbieta.

Kto mówi to? Gromierz?!

(biegnie ku drzwiom ogrodowym i otwiera je. Scena oświetla się księżycem.)

Nie ma nikogo... Naprawdę szaleję..
Gromierz? I młody, i piękny ten Gromierz...
Gromierz zuchwały, o nazbyt zuchwały...
On czeka na mnie...

(stanowczo)

Nie! Tego nie będzie!

(Prędko zamyka drzwi. Chwilę stoi nieporuszona, potem z zalanymi rękoma upada na łożo. Długą chwilę słychać tylko jej tłumione łkanie. Wstaje; jeszcze chwilę stoi milcząca; potem otwiera drzwi. Głośno.)

Gromierz! Jam twoja!

Gromierz (wpada, chwytając ją w objęcia.)

O moja ty luba!

(W tej chwili za sceną powstaje straszna wrzawa, której oni zdają się nie słyszeć. Po ogrodzie latają ogniki, jak-by kto z żagwiami biegł po nim. Wpada przestraszona *Kachna*.)

Kachna.

Ratuj, kto żyje! Złodzieje rabują!

(wybiega.)

Elżbieta (jakby zbudzona).

Co to jest?

Gromierz (*wciąż ją trzyma w objęciach*).

Luba! To nam przyświecają
Ognie weselne! To goście są nasi...

Elżbieta (*wyrrywając się gwałtownie*).

Boże! Ratunku!

Gromierz.

Nic nie bój się, miła,
Moi to goście... To ja ich sprosiłem
Na gody nasze...

Elżbieta.

Ratunku! Ratunku!

(*Wbiega Pełka w nocnym ubraniu; goni go Nagod.*)

Pełka.

Ratuj mię, Gromierz!

Nagod.

Nie znajdziesz ratunku...

(*Dosięga go i chwyta. Pełka się broni; wbiegają Czał i Midura, wala z nóg Pełkę i krępują go powrozami.*)

Wlec go na sznurze do jam y tej samej,
Gdzie mnie on trzymał!

(*Scena napełnia się ludem. Za sceną widać pożar. Gromierz nie wypuszcza Elżbiety z objęcia.*)

A tyś co za jeden?

Gromierz.

Jam włodarz Pełki, na imię mi Gromierz,
Jam ci otworzył proszowskie wrzeczadze...

Głosy.

Niech żyje Gromierz! On nasz jest! Niech żyje!

Gromierz (*wskazuje Elżbietę, która stoi oniemiata ze strachu*).

To moja żona.

Głosy.

To wojewodzianka!

Gromierz.

To moja żona! Gdy kmięć teraz panem,
Może się żenić — chociażby z Pełkówną!

(Elżbieta mdleje. — Krzyki, nawoływania i tańce radośne, pośród których wywlekają związanego Pełkę. — Lud się rzuca na sprzęty, łamię je i rąbie; pościel Elżbiety płonie.)

Brzesko. Komnata we dworcu Sieciecha.

(*Biskup Stanisław i Sieciech.*)

Biskup.

A więc żegnajcie, panie podkomorzy...

Sieciech.

Ojcze biskupie, lepiejbyście na noc
U mnie zostali. Już słońko zachodzi,
Drogi nie pewne i mosty dziurawe...

Biskup.

Drogę mam blizką — pojadę do Wierzbna.

Sieciech.

Tam pojedziecie? Nie chciał-bym być teraz
W Wierzbnie plebanem...

Biskup.

Kto zgrzeszył tak srogo,
Ten srogo za to powinien być karan.

Sieciech.

Sam sobie winien, bo nie chciał mię słuchać—
A jam mu radził odegnąć starego—
Nie, on się uparł: „To ojciec mój przecie,
„Ojca nie mogę z pod dachu wypędzać.“
Będzie miał teraz..

Biskup.

On, kapłan święcony,
Daje w swym domu przytułek poganom!
Ha, to ohyda!

Sieciech.

Ja nie wiem, podobno,
Stary się zwlekać już z łoża nie może,
Taki jest słaby...

Biskup.

Jest stary poganin!
Takim zaś kapłan nic dawać nie winien:
Ni dachu w burzę, ni lekarstw w chorobię,

Ni chleba w głodzie, ni łzy, ni miłości,
Choćby mu byli dwukrotnie rodzicem!

(wchodzi *Kanclerz biskupa*.)

Wszystko-ż gotowe do drogi, mój ojczy?

Kanclerz.

Tak jest.

Biskup.

Dyplomy czyś już wygotował?

Kanclerz.

Oto są właśnie.

Sieciech.

Ej, na nic to chyba:

Król tych dyplomów pewnością nie stwierdzi.

Biskup.

Co ja za lepsze uznaję dla cerkwi,

Temu król Bolko nie będzie przeciwny.

Sieciech.

Tak, lecz z tej wioski stawialiście sami

Kilku w harniszach; a z kąd ich dziś weźmie

Ta stara wdowa, co jej wieś dajecie?

Biskup.

Dając te wioskę schorzałej wdowinie,

Dobry uczynek spełniamy — tem samym

Jeszcze skuteczniej służymy ojczyźnie,

Niż król na wojnie.

(do kanclerza)

Tam jeszcze coś macie?

Bolko Szczodry.

Kanclerz.

Jakichś trzech kmieci z pod Solca przybyło
Gonią za nami aż pono z Krakowa...
Zda się z żałobą do waszej miłości.

Biskup.

Niechaj tu wejdą.

(Kanclerz odchodzi).

Sieciech.

Jeżeli będziecie
Czas swój tak dawać żałobom kmieciowym,
Nie wiem, czy zgoła do Wierzbna traficie...

Biskup.

Przodem iść musi powinność, Sieciechu,
Później wygoda. Nie wolno zostawiać,
Dla bezpieczniejszej i lepszej podróży,
Tych, co z żałobą przychodzą z daleka.

(*kanclerz* wprowadza trzech *Kmieci*, którzy się do nóg biskupowi schylają).

Sieciech.

Spieszcie, mój ojcze: już słońko zachodzi...
Albo nie śpieszcie — i u mnie zostańcie.

(odchodzi).

Biskup.

Czegoż wy chcecie?

Kmieć.

Twej łaski wielmożnej...
Nie każ nas krzywdzić...

Biskup.

Czyż kościół wam może
Krzywdy zadawać?

Kmieć.

Bo myśmy w tem wzrosli,
W tem zestarzeli... Nie czyń tych sierotek
Nieszczęśliwemi, ni wdowy żebraczką...

Biskup.

Kościół jest ojcem i sierot i biednych,
Wdów opiekunem... Porządniej gadajcie...

Kmieć.

O Damjanowe też wdowę i dzieci
Mamy cię prosić, wielebny nasz panie...
Damjan-ci pomarkł, na gruncie więc jego
Siadły sieroty ze starą matulą.
No nic, siedzieli... Aż oto zjechali
Twoi służebni, i wdowę Damjana
Z dziećmi przegnali... Zabrali im wszystko,
Nawet odziewek; a wszem powiadali,
Że Damjan stary był zgoła bezdzietny,
Że to podrzutki, że żona — nie żona,
Jeno przybłęda; więc cały dobytek
Ma wam przypadać, by odumarlizna...
A jakże mówić tak, kiedy my wiemy,
Że stara była uczciwą niewiastą,
Żoną mu była?... I jak był bezdzietny,
Kiedy miał synów, i jeszcze dziewczuchę,
Co dawno zmarła? I wieś nasza cała
Zgodnie też o tem świadczyła włodarzom...
Nic nie pomogło: przystawy z chałupy

Precz ją wywlekli wraz z dwojgiem drobiazgów,
Grożąc jej karą, że niby powłoczna,
Że nie od męża poczęła swych synów...
Baba zszalała do rzeki skoczyła,
Już miała tonąć; zaledwie ludziska
Wyratowali. Majaczyć zaczęła —
Zległa w gorączce.. A dzieci po ludziach
Chodzą, zagina, jak nic, w poniewierce...
Więc też gromada posłała nas trojga
Prosić cię za nich, wielebny nasz ojciec.
Damjan był godny człek, cichy, spokojny...
Ulituj wdowie, ulituj sierotom,
Każ ich przywrócić do ich ojcowizny!

(kłania się do nóg biskupowi).

Dwaj inni (*czynią to samo*).

Przywróć, prosimy!

Biskup.

A w którym kościele
Damjan ślubował tej ciężkiej grzesznicy,
Która się chciała żywota pozbawić?

Kmieć.

Już, jeśli prawdę powiedzieć, to Damjan
Nie brał kościelnych ślubowań: był stary...
Ale te dzieci, to ze krwi i z kości
Jego, niczyje... My wszyscy gotowi
Na to przysięgnąć...

Biskup.

To dzieci plugawej
Pożądliwości i chuci zwierzęcej,

Ale nie jego! Ten płod cudzołóżny
Ma-ż być mu dzieckiem z imienia i z ducha?
Tego nie będzie! Gdy kto się splugawi
Z żoną nieślubną — to będzie pies z suką,
A jego dzieci, to będą szczenięta,
Nie żadne ludzie! On nie miał małżonki,
Więc nie miał dzieci, więc po nim puściznę
Kościół, pan jego, na własność zabiera...
Czy mu przy śmierci ksiądz dał rozgrzeszenie?

Kmieć.

Ksiądz? Od nas, panie, do księdza daleko...

Biskup.

Kięże kanclerzu, dziedzinę Damjana
Oddać na kościół; a tę niby wdowę,
Co się zuchwale na życie swe targa,
Zamknąć do wieży o chlebie i wodzie
Na trzy miesiące; duchową pokutę
Sam jej wyznaczę.. A z całej gromady
Odtąd pobierać aż trzy dziesięciny
I nie ustawać, dopóki srebrnego
Krzyża z patyną do cerkwi nie sprawią.

Kmiecie (rzucają się do nóg biskupowi).

- Panie przemożny! Ulityj się! Daruj!
Myśmy i tak przeciężeni opłatą!
Licha ziemica... Zkąd srebra weźmiemy?
Daruj nam, daruj! Bo my tak ubodzy,
Że ledwo, ledwo na życie nam starczy...

Biskup (*kładzie ręce na głowie klęczącego kmiecia*).

Biorąc z was grzywny na sprzęty kościelne,
Daję wam wzamian zbawienie wieczyste,

Wrota światłości niebiańskiej odkrywam,
I serca wasze z Przedwiecznym kojarzę.
Każda łza wasza, i pot, i cierpienie,
Które wyciśnie wam praca na kościół,
Ciężko zaważy na szali uczynków
I losów waszych w dzień Sądu Bożego...
Idźcie w pokoju i więcej nie grzeszcie...

(Kanclerz i kmiecie odchodzą. Wchodzi **Sieciech**, zdyszany
i zmieniony).

Sieciech.

Ojcze, co czynić! Straszliwe nieszczęście!
Pełka ujęty, Proszowce spalone!

Biskup.

Kto to uczynił?

Sieciech.

Poganie i kmiecie,
Prosze, Nagody, Czorany, Wisławy.
I cała rzesza tych starych poganów,
Co się wywlekła z legowisk swych wilczych...

Biskup.

A więc to prawda? Dowierzać nie chciałem
Tym głuchym grzmotom...

Sieciech.

Jak stada niedźwiedzi,
Z puszczy i z moczarów wychodzi to ómami...
Ojcze, co czynić? Ja głowę straciłem...

Biskup (*spokojnie*).

Ogień krwią zgasić, krew ogniem wysuszyć...
Zbierzcie, co macie zbrojnego, Sieciechu,

Lećcie na odsiecz ku Pełce, bo może
Jeszcze nie późno... Ja wracam do miasta,
Biorę zaciągi i wyszlę wam w pomoc.

(*Sieciech* wychodzi. Woła do drzwi)

Księżę kanclerzu!

(Wchodzi *Kanclerz*.)

Gotujcie się w drogę...

Wracam do miasta...

Kanclerz (*przestraszony*).

Wielebny biskupie,

Źle bardzo z nami...

Biskup.

Co stało się?

Kanclerz.

Studzy

Pouchodzili...

Biskup.

Duchowni?

Kanclerz.

Najęci,

Kmiecie i zbrojni...

(wpada *Sieciech*).

Sieciech.

Już nie mam zaciężnych,
Wszystko mi pierzchło! Przekleństwo! Z tą
[garstką

Ruszyć nie można...

Biskup.

Co moich zostało
Z sobą zabierzcie...

Sieciech.

A wy z kim wróćcie ?

Biskup.

Sam, w mojej sukni, z chryzmatem biskupim;
Straż to pewniejsza od waszych żołdaków...

Sieciech.

Nie przed pogaństwem. Nie, księżę biskupie,
Ja cię samego nie puszczę. Zostało
Parę dziesiątków z harniszem; wystarczy
To na hołotę... Ruszajmy na Kraków.
Tam cię zostawię bezpiecznym, i wrócę
Pełce na odsiecz...

Brzeg Bugu. Na przodzie stoi kurna chata.

W oddaleniu widać mknące rycerstwo polskie z lewego brzegu
rzeki na prawy, to pojedynczo, tu kupami. — Przy chacie *Stary
kmić i Wnuk jego*)

Wnuk.

A cóż to, ojczy, że z Rusi rycerstwo
Wali a wali? Już który dzień jadą
Prawie bez przerwy... I gdzie oni jadą?
Kto oni tacy?

Stary.

To lackie rycerstwo
Z godów Kijowskich wstępuje do łoża
Miłych małżonek... Jak też im się śpieszy!
Czegoż biegnienie tak szybko a rączo?
Nic się nie bójcie: nie umknie wam hańba,
Będzie was czekać, wysiedzi na miejscu,
Zęby wam szczerząc, choćbyście na zółwiu
Do niej dążyli!.. Ej, nie nawróćcie
Co się już stało, a nowe zbroicie:
Krwia wy pochrzcie te nowe dzieciątka,
Których, odchodząc, nie mieliście w domu,
A was król pochrzci! Synu mego syna,
Zważaj, co mówię: to wszystko upiory,
To zginie jutro — od żon, czy od króla...

Wnuk.

Co to jest, ojcze? Patrz! Tamta ich kupka
Jak przestraszone się stado rozpierchła...
Lecą ku lasom co koń może skoczyć...
Czy ich kto goni?

Stary.

A stamtąd, ze wschodu,
Nic-że nie widzisz?

Wnuk.

Ogromny słup kurzu,
Duży jak góra, jak obłok skłębiony...

Stary.

Zaraz ten obłok zamieni się w chmurę
I strzeli gromem... Co widzisz, mój synku?

Wnuk.

Ludzi w kurzawie... rycerstwo na koniach...
A przodem sadyż mąż w płaszczu szkarłatnym
Na białym koniu... Jak dżga go, jak spina!
Jak mu łeb targa cugłami złotemi!
On chyba zły jest... Mój ojczu, kto to jest?
Na głowie błyszczu mu złota przepaska...
Kto to jest, ojczu?...

Stary.

Oj krwi jeszczu trzeba!
Krew ziemię żyżni, krew zbożem wyrasta...
I spaju gmachy i rodzi witeżiów...
To Bolko Szczodry krwią jedzie szafować...

Sala na zamku krakowskim.

(*Biskup Stanisław, Sieciech, Mikołaj, Mściśław i inni panowie.*—Wchodzi *Wizna.*)

Wizna (*do biskupa*).

A więc radujmy się, ojczu,—nakoniec
Król nasz powraca! Jak cesarz ów rzymski
Mógł-by powiedzieć: „*veni, vidi, vici!*“
Bo tylko przybył, z garsteczką drużyny,—
Na cztery wiatry rozpędził hołotę,
Tak, jak-by słowem! Dopiero wieść niosła,
Że król wyruszył; a tu biegnie druga —
Że kmieciów rozbił i bunty uśmierzył...

Biskup.

Smutna to radość; bo teraz dopiero
Iście człowiecza krew buchnie potokiem.

Wizna.

O tych myślicie, zapewne, co obóz
Króla w Kijowie zdradziecko rzucili?
Ha, trudna rada! Bo ciężka ich wina,
I tylko w pańskiej dobroci jest dla nich
Cała nadzieja...

(wchodzi *Wszebor*).

Sieciech.

Prawdaż to, Wszebor, że król strasznie gniewny
Na tych rycerzy, co go odbieżali?
Ma-li ich karać? Ty wiesz o tem przecie...

Wszebor.

Czy ma ich karać — ja nie wiem; lecz iście
Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział,
Jak tego ranka, gdym przyszedł z wieściami,
Że pierwsi zbiegli — Mikołaj i Mściśław—
Tak srodze jęknął, tak potem straszliwe
Rzucił przekleństwa, rwąc włosy na sobie
I pianę tocząc!... Pomimo uciezki
Wielu rycerzy, na razie chciał zostać...
Lecz dni następnych liczba pozostałych
Coraz topniała, jak śniegi marcowe:
Szli już spokojnie, bo każdy był pewny,
Że broniąc siebie i jego obroni
Miecznik Mikołaj, tak luby królowi...
W końcu i Kijów stał się niebezpiecznym....

Uszedł i Bolko, północą, w sto koni...
Bóg jeden w niebie, on drugi na ziemi
Wiedzą jedynie, co czuł on tej nocy:
Jam go nie poznał, gdy wyszedł — miał oczy
Całe spuchnięte, i usta spalone,
Ręce mu drżały i chwiały się nogi...
Ledwie wszedł na koń... Gdyśmy wyjechali
Za bramy miasta, jęczał jak w niemocy,
Potem przystanął — i długo się patrzył
Na białe mury we mgle zatopione...
I płakał... Ludzie, Bolesław nasz płakał!
O, nie daj, Boże, mu drugich łez dożyć,
Bo-by śmiertelne mu były z pewnością!...

(Wszyscy przygnębieni.)

Mścisław.

Boże zmiłuj się!

Mikołaj.

Nie żał mi żywota,
Który się rychło pewnikiem zakończy,
Ale żał sławy, żał łaski królewskiej,
Żał mi mojego dobrego imienia!
Zdrajca Zembocki, bo dla białogłowy
Króla swojego porzucił wśród wrogów,
W ciężkiej potrzebie odstąpił sromotnie!

(wchodzi *Komornik.*)

Komornik.

Król miłośnicy już wjeżdża do miasta!

Mścislaw.

Godzina sądu strasznego nastaje ..

(Wszyscy odchodzą).

Sieciech *(odchodząc)*.

Wizno!

Wizna.

A czego?

Sieciech.

Gadają coś ludzie,
Że król się ma do Krystyny Bużeńskiej...
Że wybawiwszy ją z więzów, czy z jamy,
Tak się rozkochał, iż nawet ukrywać
Tego nie może?...

Wizna *(z niecierpliwością)*.

Ja nic o tem nie wiem...

Sieciech *(do siebie)*.

Musi być prawda... Bezpieczni są zbiegi...

(Odchodzą. Pozostają tylko Mścislaw i Mikołaj; ten siedzi, głowę w rękach trzymając).

Mścislaw.

Ja ztąd ucieknę... Wypredam się całkiem...
Służby poszukam gdzie indziej, gdzie króle
Ani tak straszne, ani tak surowe...
Jedź ze mną, bracie.. Czyż jeden on tylko?

Znajdziemy innych... Uchodźmy ztąd dalej,
A korzystajmy, że nas nie uwięził...

Mikołaj (*wstaje*).

Szczekasz, szczeniaku! Raz drugi nie zdradzę,
Z pola nie ujdę — ja tu pozostanę!
Jam człek rycerski. Mam zginąć, to zginę —
Lecz się nie cofnę. Jeżeli mię skarże,
Więc-em wart śmierci — a wtedy ją przyjmę
Jak na miecznika Bolśława przystoi...
Idę do niego...

(*odchodzi*).

Mścisław.

Co czynisz? Zaczekaj!...

(*chwila milczenia*).

Czekać czy uciec? Ej, chyba spokojnie
Czekać co będzie... Różane usteczka
Za nas przemówią...

(*Mikołaj wraca, blady i drżący.*)

Mikołaj.

Nadchodzi już... Cicho!

(*Chwila milczenia. — Wchodzą panowie, Sieciech, Wizna, biskup Stanisław i inni. Za nimi Król, otoczony swemi drużynnikami; przy nim Zaklika i Wszebór. — Król robi kilka kroków, spostrzega Mikołaja, staje; oczy mu krwią nabiegają, rękę kładzie na mieczu. —*

Mikołaj podchodzi do niego, klęka i podaje mu swój miecz.)

Mikołaj.

Oto jest miecz twój, mój królu i panie...
Zwracam go tobie, bom nie jest już godny
Nosić go nadal...

(Zaklika bierze miecz. Mikołaj pochyła się).

A teraz mię skaraj
Według uczynków...

Król (*w gniewie uwerza go pochwą swego miecza*)

Nikczemny!

Mikołaj (*upada na twarz*).

Bij mocniej!...

(Chwila milczenia. Król opanowuje swój gniew).

Król.

Wziąć ich do jamy i zakuć w żelaza.

(Pachołki uprowadzają Mikołaja i Mścistawa.)

Wszebór! Rozpuścić po mieście pachołków,
Po okolicy rozesać drużynę,
Łapać i wlec tu na pasach rzemiennych
Zdrajców... Na jutro niech sądy się zbiorą...
Będę ich sądził, aż wszystkich odsądzę,
Co do jednego. Na jutro sąd pierwszy...
Idźcie. Już dzisiaj was nie potrzebuję.

(Wszyscy w milczeniu kłaniają się i odchodzą. — Król chce wyjść także; we drzwiach staje *Dobrogniewa*, przez dwie niewiasty podtrzymywana.)

Dobrogniewa (*wyciąga ręce*).

Synu mój! Bolku!

Król (*biegnie do niej*).

O matko!

Dobrogniewa (*ściska go*).

Jedyny!

(król prowadzi ją do krzesła, sadza. Kobiety usuwają się.

Tak cię w świetlicy już czekam oddawna.
Że sił mi zbrakło, i otom się przed cię
Sama wywlokła...

Król.

O matko, tyś słaba?!

Dobrogniewa (*gładzi go po twarzy*).

Jesteś nakoniec! Ach, jakżeś się zmienił!
Oczy masz smutne i usta zbielałe...
Ah! jaka bruzda na czole! Nie było
Jej, gdyś odjeżdżał, nie było tej bruzdy!
Czy ci ją dała wyprawa kijowska?

Król.

Kraj mój strapiony mnie w czoło całował,
Wiatr mój ojczysty mnie przyniósł żalobę
Biednych i słabych — i bruzdę zaorał.
Krew moich dzieci widziały me oczy,
Więc się zamgliły. Me usta gotowe
Karcić i śmierci wyroki wydawać,
Więc drżą i zbladły...

Dobrogniewa.

O synu, czyż pierwszy
Krok twój na ziemi ojczystej przyniesie
Łzy a nie radość?

Król.

O, wiele już jęków,
I łez, i śmierci mój powrót wywołał,
I szczęścia wiele, i nieszczęść i żalów...
Olbrzymi szereg i łez i uśmiechów
Widzę przed sobą... Lecz o tem na później,
Na jutro może, na kiedy bądź indziej;
Dzisiaj o tobie chcę słyszeć i mówić...
Czem niedomagasz? Dla czego ja wcześniej
O tem nie wiedział?

Dobrogniewa.

Na moje niemocy
Leków już nie ma: starości nie zlecysz!
Dziś mi znów lepiej — więc dajmy im pokój...
Ale nie pytasz o żonę, o syna?

Król.

Muszą być zdrowi, gdy o nich nie mówisz...

Dobrogniewa.

O, tyś nie takim wyjechał ztąd, Bolku!
Gładkie tve czoło zaległo chmurami,
Oczy w dal patrzą, lub w dół się spuszczaają...

(chwiła milczenia)

Słuchaj! Gotowam uwierzyć tym wieściom,
Co do mnie doszły... Żeś ty... żeś ty uległ

Czarom niewiasty, pokątnym miłościom...
Więc to jest prawda?

Król.

Tak, matko moja, ja kocham Krystynę...

Dobrogniewa.

Przebóg! Nie, iście, tyś nie ten już Bolko!...
Tak nizkoś upadł, że możesz spokojnie
Mówić mi o tem?

Król.

Ja kocham Krystynę...

Lecz jam nie upadł. Jam wielkie wiódł boje,
Jam walki staczał z myślami i z dumą;
W końcu zwyciężył i siebie i wstyd mój,
I moją dumę i moją naturę...
A to zwycięztwo zupełnem być musi,
Gdy dziś przed tobą spokojnie powtarzam,
Żem ją ukochał... 2

Dobrogniewa.

Tyś nie zwyciężył, tyś uległ sromotnie!
Zabywszy wiarę i śluby małżeńskie,
Tyś już zaprzestał być królem i wodzem,
Stał się człowiekiem, kochankiem i sługą!..
Wstyd mi za ciebie!

(wstaje)

Tak gromko, otwarcie,
Tak się bez wstydu przyznaje do tego,
Że cudzołożnie się ma ku niewieście...

(po krótkiej chwili)

Jakim ty okiem popatrzysz na Pełkę,
Któremuś córkę rodzoną zbezczęścił?
Czy nie zachodzi ci czoło czerwienią,
Czy się nie mienisz i nie drżysz wylekły
Przed tym Mścisławem, coś żonę mu uwiódł?
Bo ten sam Mścisław, co z głową swą, cały,
Nie dorósł nawet do twego kolana,
Może cię spytać: „coś z żoną uczynił?”
Może ci w oczy powiedzieć: „tyś podły!”

(Król wzdryga się i odstępuje)

Mienisz się, Bolku?... Pobladłeś?... Nareszcie!
Ciężko zasnęło sumienie w twej duszy,
Gdy tylko takie je słowo zbudziło!
O synu, zgubę ci sława przyniosła,
Zaćmiła sławę kijowska wyprawa:
Wielkim wyszedłeś, wróciłeś upadłym.

Krół.

Matko, twa mowa płomienna nie weszła
Do mego serca; zraniła mi słuch mój,
Więc się wzdrygnąłem i lica mi zbladły...
Jestem tu królem i panem mej woli
I mych uczynków; równego tu nie znam.
Więc biada temu, kto mową niesforną
Na moje lica rumieniec wywoła!
I temu biada, kto do mnie, zuchwały,
Będzie śmiał z twarzą zgniewaną przystąpić!
Ugnie się Pełka, ustąpi mi Mścisław,
Bo gdzież ja stanął, tam obok mnie żaden
Stanąć nie może!

Nie wstyd mi tego, żem zniżył me czoło
I bił pokłony przed krasą niewieścią,
Bom i ja człowiek ze krwi i z uczucia;
Nie wstyd i tego, żem złożył me serce
U stóp poddanki — bo mam tu moc taką,
Że mogę strącić z wyżyny w przepaście,
I z prochu podnieść do tronów królewskich ...

(bierze ją za rękę; ona cofa się jakby przestraszona)

Ty wiesz najlepiej, żem w niczem nie zgrzeszył:
Wiesz, że Wisława mem sercem nie władła,
Więc nie zabieram jej nic, gdy je daję
Komu innemu ...

Dobrogniewa.

A śluby cerkiewne?

Król.

Śluby? Ci sami, co nas połączyli
Na twe rozkazy, dziś na me żądanie
Z taką łatwością rozłączają ...

Dobrogniewa (*odwraca się*).

Niewiasty!

Chodźcie, prowadźcie mnie do mej świetlicy...

Król.

Matko, odchodzisz?

Dobrogniewa.

Odchodzę, bo niechęć
Stawać przy tobie, o bok z cudzą żoną ...

(odchodzi.—Król stoi długą chwilę milczący.)

Krół.

Ha, cudza żona... Raz skończę z tą „cudzą“ —
Chcę, bym miał swoją — i będzie mi moja
Żona, nie cudzą!...

(przechadza się niespokojny)

O dwoje tych ludzi!
Gdybym mógł zerwać ten łańcuch przeklęty,
Który nas związał!... Ta lalka nikczemna
Może mi krzyknąć: „oddaj, coś mi zabrać,
„Oddaj mi żonę!“... Urąga mym gniewom,
Patrzy tak śmiało, że zda się nie wierzy,
Że ja ukarać go będę miał śmiałość...
A ja już nie wiem, czy-bym go dziś skazał
Za zdradę kraju, czy za to, że mężem
Jest on Krystyny...

To może ich zwolnić?
Nie! precz słabości! Ni przyjaźń, ni miłość
Skrzydeł królewskich mym złamać nie mogą,
Polotu mego nie zniżą. Na sądach
Królem-li będę i sędzią surowym,
Lecz sprawiedliwym... A w domu, a w domu...
Pradziad mój mniszki z klasztoru porywał
Nic się nie bojąc, ja miałbym się teraz
Ludzkich języków lub wejrzeń obawiać!

(Spostrzega *Krystynę*, która weszła niepostrzeżona i stanęła we
drzwiach, otulona płaszczem.)

Kto śmiał tu wkroczyć bez mego wołania?

Krystyna (zrzuca płaszcz).

Ty mię wyganiaasz?

Król.

O tyś to, Krystyno?
Chodź, chodź, najdroższa! O jakże bez ciebie
Smutno i pusto! I jakże ty wszystko
Czarnem swem okiem ożywasz i złocisz!

(porywa ją namiętnie w objęcia).

Sala radna na zamku krakowskim.

(*Król Bolesław, Arcybiskup Gnieźnieński Piotr, Biskup Stanisław,
Wizna, Sieciech. Pełka, Władystaw Herman brat królewski, Dziekan,
Wszebor, Zaklika i inni panowie.*)

Król.

Wszystkich wezwałem, bo chcę, byście byli
Sądom dzisiejszym obecni. Żałuję,
Żem nie mógł zwołać tu z kraju całego
Wszystkich duchownych i świeckich wielmożów...
Bo w całej Polsce nie było, i, da Bóg,
Nigdy nie będzie sądenia takiego:
Dziś same zdrady będziemy sądzili,
I zemsty krwawe i srogą niewolę...
Ruszą się serca zgłażone, źrenice
Luską złoconą przykryte, dziś przejrzą,
Język rozkazów ze strachu zniemieje...
A ja dziś stanę nad wami, koronę
Złożę, a szale i miecz w ręce wezmę.
Serca rozbiję, łązy z oczów wycisnę,

I dumną mowę zagłuszę na wieki!...
Idźmy na sądy...

Pełka (*klęka*).

O królu i panie!

Niech miłosierdzia dziś dusza twa nie zna!
Ukarz zbrodniarzy! Niechaj ich posoka
Morzem popłynie i zmyje z nas hańbę!
Wspomnij, coś widział: za szyję przykuty,
W lochu siedziałem ja, pierwszy pan rady!
Wszystko, co miałem, poganin mi zabrał:
Zdrowie i siły, majątek i córkę!
Patrz na mnie, panie: w te kilka miesięcy
Jam się zestarzał o lat dwa dziesiątka;
Jam po raz drugi me życie w nich przeżył,
Lecz dwakroć cięższe i dwakroć straszniejszel.

Król.

Wstań, wojewodo! Wiem, coś ty ucierpiał,
Bom krzywdy twoje naocznie oglądał.

(Zaklika milcząc składa chorągiew do nóg królowi.)

Co czynisz, stary?

Zaklika.

Każ przyjąć ją, panie...
Ręce mi drżą... Już osłabłe... Do tego
Miejsca, gdzie siądziesz do sądów nad... żoną,
Twojej chorągwi już ja nie doniosę...

(Na znak króla Sieciech bierze chorągiew.)

Krół (*kładzie rękę na ramieniu Zakliki*).

Jaki-bądź wyrok nastąpi, czy wierzysz,
Że twej boleści współczuję, mój stary?

Zaklika.

Wierzę, mój królu...

Krół.

Pozostać tu możesz...

Arcybiskup.

Pierwiej, nim wszyscy na sądy zejdziemy,
Nie chcesz-że, panie, rad naszych zasięgnąć,
Ni nas wybadać?

Krół.

Dziś od was nic nie chcę.

Arcybiskup.

Lecz my dziś mamy do ciebie, mój królu,
Prośby pokorne...

Krół.

Powiadaj...

Arcybiskup.

Słyszałem,
Żeś przyjął skargę rolników i kmieci
O tę Solecką puściznę kościelną,
I o dziedzinę, oddaną wdowinie...
Z tego domyślam się twego wyroku.
Więc, jako głowa kościoła, przekładam:
Nie chciej poniżać biskupa przed czernią,

Jego wyroki zmieniając i znosząc;
Nie chcesz poniżać kościoła, bezkarnie
Dając znieważać sakrament małżeństwa.

Pełka.

I nie poniżaj korony królewskiej!
Niech lud nie powie, że łączysz się z jego
Częścią najgorszą przeciwko najlepszej!

Król.

Jam wam pozwolił przekładać swe prośby,
A słyszę tutaj przestrogi zuchwałe...

Pełka.

Przepuść mi, królu! Jam mocno dotknięty,
Słów mych na wodzy utrzymać nie zdołam!
Ja nie przestrzegam, ja błagam cię tylko
O sprawiedliwość dla naszych boleści...

Arcybiskup.

A dla twych zbiegów kijowskich o litość!

Sieciech.

Nie podług tego, że ciebie odbiegli,
Lecz podług tego, co biegli ratować,
Osądź ich czyny.

Arcybiskup

Miłości ich przebacz,
Co ich porwała; i sercom ich przebacz,
Co były głuche z rozpacz i strachu!

Władysław Herman.

Królu i bracie! Już dosyć wylano
Krwii naszej w kraju i poza rubieżem...
Nie tocz jej więcej...

Wszyscy (oprócz Biskupa Stanisława, otaczają króla).

Miej litość nad nimi!
Zwolnij, błagamy, i daruj im winy!

Król (cofa się gniewny).

Milczcie, szaleni! Wy sami nie wiecie,
O co prosicie! Mam zdradę darować?
Mam-że przepuścić, że moi rycerze,
Służby nie pomni, ni wodza rozkazów,
Nocą z obozu do niewiast zmykają?
Mam-że przepuścić, że mnie porzucają
Śród nieprzyjaciół, we wrogiej krainie—
I tego mało! — że tem mnie zmuszają
Wracać, gdym nie chciał?! Zuchwale się ważą
Zniszczyć — com zaczął, odrzucić—com zabrał!
Nie! o tem więcej niech słowa nie słyszę!...
I nie wam błagać też o to, bo iście,
Jeszcze nie wyrzekł, kto z was jest winniejszy!...

Pełka.

Kto z nas winniejszy? Lecz spójrz na mnie, panie:
Jeszcze me ręce od więzów zdrętwiałe,
Jeszcze ma szyja zsiniałą ma pręgę
Od tych kajdanów, coś sam z nich mię zwolnił!
Jeśliśmy winni, tośmy odkupili
Winy sowicie więzieniem, lub hańbą,
Lub stratą włości — ja pierwszy tem wszystkim!

Król.

Za twoje rany Nagody i Proszę
Swemi płacili; za hańbę twojej córki
Kmiecie dawali wam swoje; za włości
Kmiecie płacili wam potem i pracą...
Za zbrodnię Lisa Proszę mścił się znów zbrodnią,
Pełka tę zemstę nową zemstą znaczył;
Nagod za ojca, Midura za synów,
Czoran za braci, a lud za swych bogów...
Zbrodnie i zemsty się tak pomieszały,
Że już nie wiedzieć, czem która się stała.
Dziś to się skończy. Dziś zbrodnie Nagoda
I zbrodnie Pełki położę na szale,
Zważę, policzę i zrównam... Zobaczę,
Które straszniejsze. Gdy starych Nagodów —
Będą karani; lecz, Pełko, jeżeli
Twoje, to pomnij, zem król jest nie tylko
Dla was, panowie, lecz równie — dla kmieci.

Pełka.

Ha, miłościwy! Więc rzekłeś, jak będzie:
Oni niewinni, choć nas mordowali;
Oni niewinni, choć nasze zagrody
I domy boże i mnisie przybytki
Z dymem puszczały; ah! ani nie winni,
Chociaż hańbili nam córki i żony!

Król *(surowo)*.

Winni są oni, że z bólu szaleją,
Że swej niewoli znieść dłużej nie mogli;
Lecz ci winniejsi, co ból ten zadali,
Co tę niewole latami krzewili!

Biskup Stanisław.

Ten najwinniejszy — a tym tyś jest, królu!

Król (*odwraca się*).

Co? Ty, biskupie?

(Chwila milczenia.—Obecni cofają się przestraszeni, tak że biskup i król stoją sami naprzeciwko siebie.)

Biskup (*spokojnie*).

Tyś najwinniejszy, i ty ciężką za to
Z wyroków Stwórcy poniesiesz pokutę!
Ty, bo goniłeś za sławą zwodniczą,
A ziemię swoją na bezrząd rzuciłeś;
Ty, bo być chciałeś witeziem w zbroicy,
Nie gospodarzem; boś ty nam był obcy,
Bo ruskie pola i góry węgierskie
Były ci miłsze od łańów ojczystych,
Boś dla nich swoją dziedzinę porzucił
Na drżące ręce kapłana i starca!

Król (*hamując gniew swój*).

Mieliście drżące prawice dla rządów,
Za słabe były do szal sądowniczych?
Lecz wam nie drżały w zabawach z kmieciówną!
Były wam silne w zdzieraniu dzięsięcin,
W trzymaniu jeńców dziesiątki lat w jamach!
Byliście silni swe sądy sprawować,
Rządzić dla siebie i zbierać dla siebie,
Z ludzi wyciskać krwawicę i jęki,—
By tylko sobie jedwabne gzła sprawiać,

Lub do swojego kościoła kielichy
I krzyże srebrne! Pod cerkwi płaszczykiem
Byliście silni zamęczyć każdego,
Kto wam się oprze, lub wam nie zapłaci!
Odejdź, biskupie!... Ja ciebie poznałem:
Twoje sumienie czerwone, jak krew ta,
Która się leje na okół, więc na niem
Nie znać plam żadnych; w czystości tej ufny,
Ty się nadstawiasz ze sercem spokojnem...
Lecz ja dziś, mnichu, purpurę twą zwlekę,
I staniesz goły i brudny -- i każdy
Wtedy zobaczy, co pod nią się kryło!

Biskup.

Jeślim w czem zgrzeszył jak pan i namiestnik
Twój, i poddany—ty wołę masz karać...
Ale na kościół swej ręki nie podnoś,
Bo cię zdruzgocze; nie igraj z tym ogniem,
Bo cię spopieli—i lud, gdy zrozumie,
Gdy swoim węchem zwierzęcym poczuje,
Że ty mu sprzyjasz, żeś wrogiem kościoła,
Wyjąć tve imię na niego się rzuci —
W co się obróci natenczas tve imię?!

Król (*z szyderstwem*).

Stanku biskupie, krew z oczów ci tryska,
Takiś rozpalon, jakby przy dziewczynie...
Idź, wprzódy ochłoń: krew z lica ci zbiegnie,
Oczy tve przejrzą i rozum twój pojmie...
Mnie tu na górze i widniej i jaśniej,
Mnie nie tumani dym skarbów spalonych,
Ni sromy niewiast... Idziemy na sądy...

(Odchodzi.—Za nim zwolna idą inni.— *Zaklika* zostaje na stronie. Biskup *Stanisław* na swoim miejscu. Odedrzwi wraca *Arcybiskup*.)

Arcybiskup (*staje przed Stanisławem i nisko mu się kłania*).

Czoła przed tobą uchylam, biskupie!
Ja, zaniemiały, strwożony, nie miałem
Twojej odwagi,—choć moją to było
Rzeczą dziś mówić. Tyś ninie zastąpił
Mnie niegodnego. Rzeknij, a ustąpię
Ze stoła mego — ty na nim zasiądziesz,
Boś ty sam tylko nam godzien przodować.

Biskup.

Ja nie pożądam twej mitry, pasterzu:
Tyś naszym głową... Postępków twych sądzić
Jam nie jest mocen; lecz twoje uznanie
Śmiałość mą zdwaja...

Zaklika.

I tak już zanadtoś
Śmiały, mój ojcie. Ja drżałem o ciebie...
Dziwu się daję, że Bolko bezkarnie
Puścił twe słowa... Oj, Chrobry-by za nie
Skarał cię srogo! I tem ci pewnikiem
Kiedyś przypomni, bo naszych Bolślawów
Drażnić nie wolno, a tyś go dziś drażnił.

Biskup.

Wiem, że jest straszny, i wiem, że potężny —
Nie przetoż mowy zaniecham. A gdyby

Mowy nie stało, to ręką mu wskażę
Drogę prawości...

(odchodzi).

Arcybiskup (po chwili).

Mieliście słuszność tak Stance powiadać:
Zazbyt gorliwy, — a czasem to gorzej
Od zaniedbania.

Zaklika.

Czemyś-cie sami mu tego nie rzekli?

Arcybiskup.

Trudno mi było ostudzać mu zapał...

Zaklika.

Ha! będzie trudniej pożary ugasić,
Które ten zapał niebaczny roznieci.

Arcybiskup.

To rzecz nie moja. Ja ręce umyвам,
I wprost ztąd jadę do swojej dzielnicy...

(odchodzi).

Zaklika (sam).

Coś się na burzę duchowną zanosi...
Ej, co mi z tego! Niech robią co wolą...

(przechadza się niespokojny i zamyślony).

Myśli się płaczą... Czy sen to nikczemny,
Czy jawa dzika?

(podchodzi do krzesła tronowego, na którym leży miecz, przez
Mikołaja oddany)

Królewski miecz leży...
Poszedł król sądzić bez miecza swojego
I bez miecznika...

(Krzyki za sceną. Zaklika się wzdryga, robi nad sobą wysilek
i powraca do tronu.)

Wspaniały to oręż —
Ile szczerb na nim!... Milcząca, spokojna
Każda ta szczerba... Lecz każda z nich znaczy
Śmierć — i nie jedną...

(Znowu krzyki. Zaklika stara się nie słuchać.)

Ten Szczerbiec Chrobrowy,
Martwa kronika wojennych zapasów
I zwycięstw naszych...

(Za sceną radośne okrzyki.)

Sądzi. Wyroki wydaje łaskawe,
Więc się radują.....

(znowu bierze miecz do rąk.)

Ta wielka szczyrba — poznaję, poznaję...
Chłopca małego, mnie rodzic przywołał,
Kazał uklęknąć, do stali tej zimnej
Usta przyłożyć i przysiąc, że nigdy
Miecza mojego na swoich nie wyjmę
I nie podniosę...

(rzucea miecz)

Nie wiedział mój rodzic,
Że przyjdzie chwila tak straszna i groźna,
Że w łonie własnem mój miecz-bym utopił!

Zakrywa twarz rękoma.—Znowu krzyki, coraz głośniejsze.—Zakli-
ka stoi w walce. Potem prędko podchodzi ku drzwiom, patrzy
chwile; biegnie do lawy, porywa swój miecz, tam złożony.)

Przyszli oboje!!

(Dobywa miecz z pochwy i wybiega. Chwila milczenia. Za sceną
krzyki, a potem wrzawa. Po chwili wpada dwóch *Komorników*.)

1. Komornik.

Co tam się stało?

(Za sceną: głośne okrzyki, wrzawa i hałas.)

Zostań tu ktokolwiek.

Ja tam polecę...

(wybiega)

2. Komornik (*wie drzwiach*).

A to się tam roi!...

Król z krzesła powstał... Kołyszą się tłumy...
Rety! tam bójka... Nic więcej nie widzę..

(Wpada *Wszebór.*)

Wszebór.

Hej, komornicy! Przystawy! Tu do mnie!
Do mnie!

2. Komornik.

Co każeś?

Wszebór (*chwytła się za głowę*).

Oj, stary ty, stary!
Cożeś uczynił? A tobie to po co?
Ciebie-ż tam brakło?...

Wbiega kilku *Komorników.*

Przynieście kajdany,
Nieście najcięższe... Zaklika tam zabił
I swoją żonę, i gacha — przy królu...

Komornik.

Boże, zmiłuj się!...

Wszebór.

Przynoście okowy,
Zakuć Zaklikę: on na śmierć skazany!

(Komornicy wychodzą)

Wolał-bym nie żyć, niż więzić starego!...

Podziemie.

Sklepiiona izba, ciemna i wilgotna. W ścianach kilkoro drzwi, prowadzących do cel więziennych. — Na prawo i na lewo wąskie schodki na górę. — Na scenie tak ciemno, że ledwo co widać.

(*Małgorzata* schodzi ze schodów i zatrzymuje się na przodzie sceny.)

Małgorzata.

Zdaje się, że już koniec schodków... Jakże tu ciemno!... Nic nie widzę... Ah, już trochę widniej... Tutaj muszą być drzwi.. Są! Tyle ich jest tutaj!... Cóż pocznę? Któreż są jego?... Odwagi, odwagi! Od mojej przytomności jego życie zależy — jutro już będzie zapóźno... Ja się nie mogę, nie powinnam omylić!. Jego okno było trzecie od rogu.. Zład-em weszła... To te, o! te.. Za nimi on musi być — Czuję to po biciu mego serca!... Prędszej, do roboty...

(*próbuje wytrychem drzwi otworzyć*)

Nie mogę! Nie mam sił! O! ja muszę otworzyć. Niech sobie ręce połamię, niech zczeźnie potem na wieki cała siła moja, bylebym ją dziś w rękach miała!

(*próbuje dalej*)

Nic nie zrobię!... Takem jego bliska... (*do drzwi*) Mikołaju, czy jesteś? pomóż mi... przyszedłam cię zwolnić... Lecz ja tych wrzęciadźów otworzyć nie mogę... Cisza... Nie, nie! Ja otworzę!... Ja muszę otworzyć!

(*Z całych sił próbuje drzwi otworzyć.—Z drugich schodków widać zbliżające się światło.*)

Dopomóż mi, Boże! W tobie tylko moja nadzieja... Ah, ktoś idzie.. Wszystko zginęło!!...

(Upada na kolana i zakrywa twarz rękoma. — Ze schodków z kagańcem zapalonym w rękę wchodzi *Krystyna*; spostrzega kłęczącą i cofa się z okrzykiem przerażenia.)

Krystyna.

Kto tu jest!

Małgorzata.

Krysto?!

Krystyna.

Małgosiu? Tutaj! Po coś ty tutaj?

Małgorzata.

Ona się pyta!

(Spostrzega w rękę *Krystyny* pęk kluczków; rzuca się je wydierać.)

Ha! Ty masz klucze!

Krystyna.

Co czynisz?!

Małgorzata.

Oddaj mi klucze... Mikołaj jest w więzieniu... Mikołaj na śmierć skazany... Jutro ma umrzeć.. Oddaj moje klucze!!...

Krystyna.

To nie dla ciebie!.. Ja tylko Mściława zwolnić mogę...

Małgorzata.

Nikczemna! Chcesz oddać mu życie, a co mu po życiu, gdyś mu cześć zabrała? O siostró, siostró miła,

daj mi te klucze, daj mi klucze, pozwól mi uwolnić mego Mikołaja! Siostrzyco droga!

Krystyna.

Kto cię tu wpuścił?

Małgorzata (*chwytając ją za gardło*).

Oddaj mi klucze, bo cię zduszę jak psa!

Krystyna.

Precz, bo zawołam pomocy!

Małgorzata (*tamie ręce z rozpaczą*).

O jakże mam ją błagać?! Krysto, ja mu otworzyć nie mogę, ja go zwolnić nie mogę... Daj klucze, daj klucze! Ludzie nadejdą, będzie wszystko zgubione... O Boże!

Krystyna.

Śluchaj, Małgosiu... Jam tylko Mściława życie wybłagała... Winnam jest przed nim... Król i tego nie chciał, nie dał mi zezwolenia, ale widziałam, że mi to wybaczy... Jam mu śpiącemu klucze z pod poduszki wykradła... Gdyby zbiegli i tamci, ach, Małgosiu, on-by mnie zabił!...

Małgorzata.

Siostro, ulituj się!

(*rzuca się jej do nóg*)

Krystyna.

Cicho... cicho... Małgosiu, nie płacz, nie proś... Masz klucze... Zwolnij wszystkich... i Zaklikę, i Mi-

kołaja... Uciekajcie wszyscy czworo... A wspomnijcie czasem o mnie, i módlcie się za mnie, bo czy to mi król przepuści — nie wiem... Masz klucze...

(oddaje jej klucze i spiesźnie odchodzi.)

Małgorzata.

O dzięki ci, siostrze!

(całuje jej ręce w uniesieniu, potem biegnie do drzwi, próbuje klucz jeden i drugi)

Nie ten... Nie ten... Nie... Nakoniec!

(otwiera drzwi celi więziennej)

Czy jesteś? Mężu! Mikołaju!

(Cisza. — Wchodzi do celi. — Po chwili daje się słyszeć ztamtąd straszny krzyk. — Cisza zupełna. — Wchodzi *Stróż więzienny* z pochodnią.)

Stróż.

Wyraźnie ztąd słyszałem krzyk... Czy to Wiły wrzeszcza, czy domowy Bies jaki?... Ha! drzwi otwarte!!

(wbiega do celi Mikołaja i zaraz ztamtąd wybiega jak nieprzytomny, błądy, przestraszony)

Ludzie! ludzie! ludzie! Na pomoc!

(wbiega dwóch *Stróżów*.)

2. Stróż.

Co się stało?

1. Stróż.

Ludzie!

3. Stróż.

Czego wrzeszczysz? Czyś oszalał?

1. Stróż.

Rety! Miecznik Mikołaj powiesił się..

2. Stróż.

Szczekasz!

1. Stróż.

Ktoś go tam dusi... Patrzcie, wisi na nim...

2. Stróż *(staje na progu, oświetla wnętrze celi).*

Strzyga! Strzyga!

3. Stróż.

Ratunku! To Miecznikowa... Powisła z nim razem na jednym sznurze!...

1. Stróż.

O biada!

3. Stróż.

Patrzcie, rękami męża objęta!...

(wbiega do celi. Po chwili)

Już martwa... A ciepła jeszcze...

1. Stróż.

A on? a on?

3. Stróż.

Już skostniał...

Refektarz klasztorny w Mogilnie.

(*Dobrogniewa i biskup Stanisław.*)

Dobrogniewa.

Miej litość, ojcze... Jam tak skołatana...

Biskup.

Niechaj to będzie pokutą za grzeszną

Twą pobłażliwość...

Dobrogniewa.

Więc jeszcze ci mało

Ciężkiej pokuty, com sama podjęła?

Wie o tem Stwórca, jak serce pękało,

Gdym porzuciła mą wdowią świetlicę

I mych rodzonych — i syna i wnuka!

Syna! wszak, ojcze, on był dla mnie wszystkim —

Życiem i zdrowiem, nadzieją, młodością...

Lecz jam się syna widoku wyrzekła,

I jam za życia tu, w dali od niego,

W trumnę wstąpiła... A dziś, gdy on przybył,

Ty z groźnem słowem pomiędzy nas stajesz,

Ty mi pokutą za miłość mą grozisz.
Chwile widzenia się trujesz okrutnie!..

Biskup.

Wtedyś dopiero swój dom porzuciła,
Gdy w nim już żadna uczciwa niewiasta
Zostać nie mogła, bo dom-by musiała
Dzielić z nierządem. Tyś wtedy dopiero
Syna odbiegła, gdy on cię uranił
We czci twej wdowiej, gdy obcą niewiastę
W progi komnaty królewskiej wprowadził..
Winnaś ty, pani, bo wszystko poprzednie,
Za co go kościół strofował i karmił,
Tyś miękkim sercem mu wszystko zabyła!
Ja ci powiadam: ten człowiek niebacznym
Musi zejść z drogi, na którą się zwrócił.
Albo upadnie...

Dobrogniewa.

Ty nie znasz go, ojczy...
On się nie cofnie ..

Biskup.

Więc Bóg go powali!

(po chwili)

Dróg Opatrzności nikt zbadać nie zdoła. .
Ja, jako pasterz, zanim go potępię,
Muszę go skarcić, spróbować nawrócić...
Od paru niedziel jak cień za nim chodzę,

Żądam rozmowy; lecz on swe podwoje
Zawarł przedemną...

Dziś jest on w Mogilnie,
Będzie przy tobie... Ty musisz mi pomóc.
Musisz go przywieść, by wszystko wysłuchał —
Dziś, albo nigdy! Bo gdyby i dzisiaj
Nie chciał wysłuchać o krzywdach i klęskach
Które wyrządza i cerkwi i Bogu,
Nie chciał się cofnąć — o, wtedy ten człowiek
Już się niegodnym niebiańskich łask stanie!

(Dobrogniewa zakrywa twarz rękoma)

Pani, odwagi. Ta ciężka godzina
Cierpień i trwogi powrócić nam może
Bolkę dawnego. A któż-by odmówił
Za taką cenę pół życia przecierpieć?

(wchodzi *Pani dworska.*)

Pani.

Król miłościwy nadchodzi ..

Dobrogniewa.

O Boże!

Biskup.

Ja się usuwam. W tej bocznej kapliczce
Będę się modlił. Gdy pora nastanie,
Wrócę...

Dobrogniewa (*błagalnie.*)

Mój ojcze!

Biskup.

I wszystko wypowiem!

(Ochodzi bocznymi drzwiami. — Po chwili z głównych podwoi wchodzi *Król*, za nim *Opat Mongosz*, *Kancierz*, *Wszebor i drużyna*.)

Król (do *Opata*).

Wasze kościoły w Mogilnie, jak widzę,
Nie są bogate...

Opat.

Ubodzy-śmy sami,
Panie, nie mamy więc z czego upiększać
Naszych kościołów...

Król

Słyszałem, że macie
Ciężką robotę; że wiarę krzewicie
Nie krwią ni mieczem, lecz dobrym przykładem,
I dobrem słowem, i dobrym uczynkiem.
Z pomiędzy waszych nielicznych poddanych
Żaden, podobno, Nagoda się nie jął,
Boście żadnemu z nich krzywd nie zrzędzili...
Chcę, by wasz klasztor w przyszłości się zrównał
Z najbogatszymi naszymi opactwy.

(Na jego znak kanclerz podaje pargamin.)

Oto dyplom.

Miast wam dwadzieścia i wiosek dwadzieścia
Daję na własność; z całego Mazowsza
Macie pobierać dziewięcinę plonów,

A oprócz tego, ze wszystkich miast większych
Pewną opłatę w denarach i grzywnach.
Za mym przykładem, niektórzy panowie,
Paweł i Zema, Dobrogost, Odolan,
I kilku innych, za zgodą swych krewnych.
Dają pustkowia wam wielkie obszary,
Które pozwalam wam ludźmi zasiedlać,
Z jakich stron chcecie... Na ciebie, opacie,
Zlewam sądową mą władzę w twych włościach;
Wierzę, że żaden występek ni zbrodnia
Kary nie ujdzie; wiem, że obłąkania
Karać nie będziesz; więc śmiało w twe ręce
Składam miecz kary i krzyż miłosierdzia.

Opat (przyklękając, przyjmuje dyplomata).

Panie! Nie mnie, niegodnemu, to świadczysz,
Lecz kościołowi, co twoją prawicą
Szczodrą dźwignięty, zabłyśnie jak słońko
We mgle pogańskiej... Niech Bóg ci to odda!

(całuje rękę króla. Wszysey się cofają; pozostają tylko *Król*
i *Dobrogniewa*.)

Dobrogniewa (do siebie).

On wszystko słyssał... O dzięki ci, Boże!
Tego, kto świadczy tak szczodrze kościołom,
Nie lza pomawiać, że chce jego zguby...

(zbliża się do króla)

Dzięki ci, Bolku; tyś sprawił mi radość
Wielką, nadając dziedzinę Mogilnu...

Bóg cię oświecił! O, lepiej iść z nimi,
Niż walczyć z nimi...

(przyciąga go do siebie, szepce mu do ucha, niespokojnie się oglądając na drzwi, któremi wyszedł biskup)

Wierzaj mi, za nimi
Gromy niebieskie i piekła czeluście...
Gdy rozkrzyżują ramiona, potrafią
Ściągnąć na ciebie pioruny Piotrowe...
O, nie walcz z nimi!...

Krół *(po krótkiej chwili)*.

Postuchaj mię, matko.
Spójrzyj po kraju. Czyż mało klasztorów
I domów bożych, com je ja zbudował?
Przed świętą sprawą dłoń ma nie zamknięta.
I nie leniwa w obronie jej ręka.
Kto chce nauczać — za takim ja stanę.
Będę go bronił, że włos mu nie spadnie
Z głowy; kto wszystko, co ma, odda biednym,
Tego całego ja złotem zasypię;
Kto krwią opłaci naukę Chrystusa,
Tego czcić będę — jak Chrobry Wojciecha...
Lecz kto chce uczyć żelazem i ogniem,
Lachman i torby kto chce w dziesięcinie
Zabrać biednemu, kto cudzem męczeństwem,
Albo krwią cudzą chce wesprzeć swe słowa,
Kto staje dumny, w purpurze i złocie.
I depce krocie maluczkich i biednych,
Głuchych i ślepych — tej łatwej zdobyczy,

Która się nawet obronić nie może,
Ten jest zbrodniarzem, nie księdzem! Takiego
Ja, jako król, muszę ująć, rozbroić
I zdeptać w prochu! .

Dobrogniewa (rzuca się mu na szyję).

Umilknij, na Boga!

Nie mów nic więcej! O, nie mów, nic nie mów!

Krół.

Ja nienawidzę tych panów kościoła!
Na dumie wzrosli, na tronach rozsiedli,
Oni zakuli człowieka w kajdany,
By go tem łatwiej pod rządy swe nagiąć...
A gdy się broni, gdy ruch jeden zrobi
I wstrząśnie jarzmem, — to oni powrozy
Mocniej ściągają, a tamto piętnują
Grzechem i zdradą, i grożą karami
Ognia wiecznego i wiecznych katuszy!

(wchodzi Biskup bladym i groźnym.)

Biskup.

Źle mówisz, królu! Bezbożny twój język
Stanie się wrogiem twej duszy śmiertelnym!

Krół.

Ty byłeś tutaj? Skulony za drzwiami.
Tyś podsłuchiwał rozmowę mą z matką?!

(wstaje)

Na zbyt zuchwałyś...

Dobrogniewa (chwytając go za rękę.)

O synu, zaniechaj!...

Biskup.

Jam stał i słucał, jam zniemiał z podziwu,
Jam zcierpł ze zgrozy, i wcześniej dla tego
Nie mógł wystąpić... O jakżeś ty ślepy!
Więc, że wkładamy wędzidła na ludzi,
Że kierujemy ku duszy zbawieniu
Myśli i mowę, zamiary i czyny
Tych, co nie wiedzą gdzie złe jest, gdzie dobre —
Ma to być zbrodnią? A gdy nieposłusznym
Chłostą grozimy, ma to być występkiem?
Czy ty innego co czynisz u siebie?

Krół (*powstrzymuje swój gniew*).

Ja karzę zbrodnie widome każdemu.
Ten, kogo karzę, wie za co karany,
Wie, że pobłdził i widzi swe błędy;
Bo my oboje z krwi jednej i kości,
o, jako głowa mojego narodu,
Wszystko odczuwam, co tylko on czuje.
I jego myśli najskrytsze zgaduję,
I jego wolą bezwiednie się rządę...
Ty masz ojczyznę w przestworzu nieznanem,
Tyś obcy ziemi; z niezmiennym zakonem
Ty do niej idziesz, nieznanne wystęпки
Karzesz surowo, nieznanych cnót szukasz...
A gdy cię ludzie zrozumieć nie mogą,
Grozisz karami; gdy cnót twoich nie chcą,
Gdy zbrodni twoich za zbrodnie nie mają,
Ty, wściekły, miotasz przekleństwa na okół,
I wołasz ognia i krwi na tych ludzi,

Co cię nie znają, co takiej nauki
Nie chcą zrozumieć, bo czynisz ją wstrętną...
Za dumnyś, klecho... Daleki od ziemi,
Obcy jej sercu, na bóle jej zimny,
W Rzymie masz światło, w papieżu zbawienie!
W nich zapatrzony, tyś olsnął, tyś zbył się
Tego, co twoje, i, jako ćma nocna,
Lecisz w ten ogień...

Tu nie jest Rzym, Stanku:
Tu ziemia polska — a jam na niej królem...
Czy kto chrześcjanin, czy czciciel bałwanów,
Byle był polak, jest dzieckiem mem rodnem,
Którego bronić, z urzędu i z woli,
I chcę i muszę. Obydwaj mnie mili.
Nie dam ukrzywdzić ni chrześcjan, ni pogan...
A jeśli papież, na twoje wezwanie,
Sam, osobiście, z zastępem aniołów,
Przyjdzie, by krew moich pogan przelewać. —
Ja na granicy z tym Szczerbcem go spotkam.
Jakem spotykał ziemicy mej wrogów!
Niech na tem stanie. Wiesz, czego się trzymać:
Rządy są przy mnie, przy tobie są modły...
Więc idź się modlić,—od rządów zaś wara!
Zostaw nas samych...

Dobrogniewa (*błagalnie*).

Mój ojczy wielobny...

Biskup (*przerzywa jej*).

Mówisz, że obcą mi ziemia i ludzie,
Że ich nie widzę? Tyś w błędzie jest, królu!
Ja widzę dużo, bo Bóg mię oświeca,

A kościół memi oczami kieruje;
Dużo rozumiem, bo chryzmat ten święty,
Którym Duch boży me czoło pomazał,
Jest od twojego królewskiego wyższy!
Ty się zasklepiasz w swej nędznej polskości —
Moją ojczyzną jest cały świat boży;
Ty woli swego narodu ulegasz, --
Ja mam nad sobą wolę tylko Boga,
Przez kościół Święty objawioną światu!
Słuchaj tej woli: nie będziesz się łączył
Przy żywej żonie, z zabitego wdową!
Nigdy! Sakrament jest nie rozerwalny:
Ślub twój z Wisławą trwać będzie nietknięty,
A ty trwać będziesz tylko... w cudzołóstwie!

Król.

Ty śmiesz tak mówić?

Biskup.

Tak śmiem, bo z królową
Jam ciebie związał; a co ja tu związę,
To pozostanie związanem na wieki!

Król.

Klecho zuchwały! Zabraniam ci mówić
O tem przedemną!

Biskup.

Ostrzegam cię, królu!
Czara przewinień twych względem kościoła
Już przepelniona. Ty musisz się cofnąć...
Daję ci rok od dziś za dwie niedziele.

Bołko Szczodry.

— 8

Jeśli w tym czasie nie spełnisz pokory,
Żalem nie zmyjesz swych grzechów, poprawy
Nie będziesz chciał przed ołtarzem obiecać —
Biada ci, królu! -- Ja stanę przed tobą
Jak cień Samuela i rzucę na ciebie
Kłątwe wieczystą.

Król (w gniewie).

Nie waż mi się nigdy
Stawać przed oczy bez mego wezwania!
Pomnij to, księżu! Inaczej na tobie
Kraj straszny przykład mych gniewów zobaczy!

Dobrogniewa.

Bolku! Na wszystko! To przecie jest biskup . . .

Król.

Ma-ż nas być dwóch na Krakowie królami?
Ha, jeśli dwóch, to z nas jeden, zaiste,
Musi ustąpić!

Biskup.

Nie dwóch — tyś jest jeden,
Ale nad tobą ja — kapłan i biskup!

(Król, powstrzymywany przez Dobrogniewę, mierzy biskupa gniew-
nemi oczyma. Biskup, z okiem pałającym, stoi nieporuszony. —
Potem spokojnie odwraca się i wychodzi.)

Pokój Krystyny na zamku Krakowskim.

Wszędzie dywany, jedwabie i skóry zwierzęce. —
W głębi podwoje do innych sal, z których słychać
muzykę, a przez uchylone drzwi widać rześiste
oświetlenie i mnóstwo ludzi.

(Z głębi wchodzi *Król*, obejmując *Krystynę*.)

Bolesław.

Bardzoś zhasana, ty skoczna tancerko ?

Krystyna.

O, ledwo stoję... Zanieś mię na łożo...

(*Król* unosi ją i kładzie na łożu perskim dywanem przykrytem.)

Bolesław.

Czemuś nie rzekła? Od razu cię był-bym
Wziął na ramiona...

Krystyna.

Nie długo-byś dźwigał,
Sam-byś się zmęczył...

Bolesław.

Unosząc cię? Nigdy!

Krystyna.

Bardzo mię kochasz?

Bolesław.

Tak bardzo cię kocham,
Że-bym cię zdusił i zgniótł w mych objęciach!

Krystyna.

Duś mię i męcz mię... Żelazną mnie ręką
Ujmij tak silnie, bym ruszyć nie mogła...
Bij mię swym pasem rzemiennym, bym w tobie
Pana mojego srogięgo wiedziała...
Ja cię tak kocham, że razy od ciebie
Są mi pieszczotą...

Bolesław.

Więc dawaj tu rękę,
Chcę ją połamać!

Krystyna.

Masz oto obydwie...

Bolesław.

Zrzuć z głowy czepek, nie chowaj przedemną
Kos hebanowych, bo one też moje...

Krystyna (*zrzuca czepek*).

Masz gołą głowę... Za włosy mię targaj,
Ręce połamaj... Niech czuję od ciebie
Ból jakikolwiek; niech noszę na ciele
Znaki twych razów; niech każdy zobaczy,
Żem niewolnica pokorna jest twoja!

Bolesław (*całuje jej ręce*).

A któż-by łamał te białe atłasy?!

(*całuje jej włosy*)

Któż-by się do tych czarownych warkoczy
Dotknął inaczej, jak tylko z pieszczotą!

Krystyna (*zarzuca mu kosę na szyję*).

A co? Już mam cię... Już jesteś spętany...
Ej, robie Bolku, niebawiac-no pójdz mi,
Przynieś kijowskich owoców na tacy...

Bolesław.

Puść, to przyniosę...

Krystyna.

Wyrwij się, to pójdziesz...

Bolesław.

A, niegodziwa! Chcesz zmusić, bym targnął
Za włosy twoje? Nie prawda! Nie słucham
Twoich rozkazów...

Krystyna.

Bo będę cię biła!

Bolesław.

Bij!

Krystyna (*rzuca mu się na szyję*).

Wyciąuję!

Bolesław.

A widzisz! Kto górą?

(Tuli ją w objęciach. — Przed chwilą muzyka ustała i słychać za sceną szmer, potem krzyki i halas, na co oni nie uważają. Wbiega wystraszony *Komornik*.)

Komornik.

Królu i panie!

Bolesław (*wstaje gniewny*).

Dla czego nie grają?

Komornik.

Biskup Stanisław...

Bolesław.

I cóż?

Komornik.

Stanął w sali

Z pocztem duchownych, w swym stroju biskupim...

Woła na ciebie...

Bolesław.

Drzwi przed nim zamykać!

Komornik.

Wszyscy drużyńce przy stołach biesiadnych,

Czeladź rozpierzchła lub trwogą przejęta...

On tutaj idzie...

Bolesław.

Drzwi zamknąć, powiadam!

(Komornik wybiega i zamyka za sobą podwoje. — Chwila ciszy.)

Krystyna (*w strachu*).

Królu, co będzie?

Bolesław (*drżąc z gniewu*).

A nic... Zobaczymy,

Czy się ośmieli do moich drzwi pukać,

Przed nim zamkniętych...

(Drzwi z wolna się otwierają; widać przy nich klęczącego, z pochyloną głową, *Komornika*. Stoły biesiadne próżne. — Zdala nadchodzi *Biskup Stanisław*, w szatach pontyfikalnych; za nim *Kapituła*. W oddaleniu kupka *dworzan* królewskich i biskupich. Krystyna chce uciec, król ją chwyta za rękę i zatrzymuje. Biskup idzie wprost ku królowi, który hamując się, ale drżąc z gniewu, oka z niego nie spuszcza. Kapituła pozostaje w głębi; księża i prawie wszyscy świeccy klękają.)

Bolesław.

Po coś tu przybył?

Biskup.

Już raz-em cię karciał...

Dałem ci termin, tyś wzgardził mą groźbą:

Zamiast poprawy, brniesz dalej w tym kale

Zbrodni i hańby... Więc słuchaj wyroku:

Dziś, w imię cerkwi, zbrodniczą twą głowę

Rażę śmiertelnie: aż się nie poprawisz,

Aż nie przebłagasz i Boga i ludzi,

Win nie zamodlisz — podwoje świątyni

Będą przed tobą zamknięte! Bo takim,

Jakim dziś jesteś, tyś owcą jest chora,

Którą od stada oddzielić potrzeba!

Bolesław (wyrzywa się od Krystyny, która go się konwulsyjnie czepia).

Puść mię!... Nikczemny!! Gdzie miecz mój?

[Hej! ludzie!

Biskup.

A gdy i potem w swych błędach zostaniesz,

Ja twych poddanych rozwiążę z przysięgi,

I zetrę chryzmat z twej głowy zhańbionej!

Bolesław (*szuka miecza koło siebie*).

Ja ci go wyrwę, ten język twój podły!...

Biskup.

A ja na ciebie anatemę rzucę!
Będziesz przeklęty, i każdy jak psa cię
Będzie mógł zabić!

Bolesław (*porywa się*).

Powrozów! Żelaza!!

Biskup podnosi ręce. — Bolesław zatacza się, szarpie na piersi ubranie, upada.)

Biskup.

Będziesz przeklęty! Po trzykroć przeklęty!

Duchowni (*chórem*).

Amen!

(Biskup odchodzi, za nim duchowni. — Obecni przerażeni. — Krystyna rzuca się ku leżącemu bez oznak życia królowi. — Wpada
Wizna i Komornicy.)

Wizna.

Co się tu stało? Gdzie król?

Krystyna (*łamie ręce*).

On go zabił!

Wizna.

Krew uderzyła do głowy... Krwi puścić...
Trzeba krwi puścić...

(przecina ubranie króla, puszcza mu krew z ramienia. Chwila
milczenia.)

Już mu jest lepiej... Krew z twarzy odpływa...
Złóżcie go... Zamknąć podwoje... Spokoju...

Pokój Biskupa Stanisława.

(*Kanclerz* stoi z załamanemi rękoma. — Wchodzi śpiesznie *Wizna*.)

Wizna.

Księżę kanclerzu, czy prawda, co mówią:
Że biskup króla w katedrze wyklina?

Kanclerz.

Prawda, niestety!...

Wizna.

To przecie szaleństwo!
On chyba nie wie, na co się odważa:
On olsnął z gniewu, on rozum utracił!
Wszak król mu tego przenigdy nie puści.

Kanclerz.

Oj, wie on o tem. Ni gniewem, ni zemstą
Jest on wiedziony i nic go nie ślepi...

Lecz jest-to człowiek takowy, że gdyby
Uznał potrzebnem, to dał-by spokojnie
I swoje życie, i innych by skazał...

Wizna.

Król jest osłabły, lecz już się podźwignął,
Wieść o tej klątwie podniosła go z łoża...
Jest bardzo gniewny... Kto wie co się stanie?
Trzeba rozesłać po innych biskupach,
Niechaj się zjadą, niech Stance przełożą.
Niechaj go zmuszą do zdjęcia tej klątwy...

Kanclerz.

Biskup rozesłał już wszystkim biskupom
Odpis swej klątwy, a swoim plebanom
Zlecił surowo, pod karą najcięższą,
Aby tę klątwę z ambony głosili...
A gdy przypadkiem król wejdzie do cerkwi
Podczas ofiary, by z nią się wstrzymali,
Aż on precz pójdzie.. Za jakie dni parę
Całe krakowskie już o tem się dowie...

Wizna.

Aż strach pomyśleć, co z tego być może...

Kanclerz.

Mnie się od tego tak w głowie skręciło,
Jak gdybym stanął nad jaką przepaścią...

Wizna (*patrzy w okno*).

Cicho... Nadchodzi. . O biada zuchwałym,
Co się w szaleństwie na lwa porywają!...

(odchodzi. Po chwili innemi drzwiami wchodzi *Biskup*.)

Biskup.

Wszystkim ogłoście, wielebny kanclerzu,
Że oddaliśmy się dzisiaj na Skałkę.
Rzeka przedzielać nas będzie od miasta,
Bo nie przystoi nam nadal w niem mieszkać...
Kto chce nas widzieć, przybędzie na Skałkę.

Kanclerz.

A co się stać ma z twem wojskiem zaciężnem?

Biskup.

Co z mojem wojskiem? Niech tutaj zostanie,
Dworu pilnować.

Kanclerz.

A ciebież, o panie,
Kto będzie ciebie pilnował i bronił?

Biskup.

Mnie? Przed czem bronić? Gdziesz ta świętokradzka
Ręka, co targnie się na mą osobę?

Kanclerz.

Dworzec bezpieczny — a ty tam sam jeden,
Bez sług, bez straży, w dalekiem ustroniu...
Strach mi za ciebie...

Biskup.

Zostaną tu wszyscy...
Bo, gdy nie strach mię ztąd goni, więc strachu
I tam nie zaznam... Przyzwijcie tu do mnie
Brata Pietrasza; on jest już na dworze...

Kanclerz.

Zaraz go wezwę.

(odchodzi)

Biskup (sam, stoi dłużej czas milcząc).

Wszystko gotowe. Ruch jeden mej ręki—
A młody sokół bohemski, zwabiony
Mojem wołaniem, wypadnie i siądzie
Na starem gnieździe orlicy lechickiej!...
Straszne to leki, straszniejsze od ognia,
Ale, zaprawdę! i niemoc jest straszna...
Rak całe ciało zakazi i stoczy;
Trzeba go wyciąć, chociaż-by ze strasznym
Bólem i jękiem... Któż na to się waży?
Ja tylko jeden mam siły po temu,
Ja cios ten zadam... Pod moją prawicą
Lechia zadrży i jęknie żałośnie,
Będzie się miotać w cierpieniach okropnych,
I skona w starej, nikczemnej swej larwie,
Aby zmartwychwstać wonniejszą i bielszą
I znowu wielką...

Ja jestem tu panem,
Los mego kraju w mym ręku spoczywa,
A dzieje przyszłe u moich nóg leżą,
W oczy mi patrząc, wskazówki czekając,
Którą iść drogą...

(zamyśla się)

Ma syna i brata...
Mieszko i Herman — obydwaj nie dla nas.

Wszystkie konary Piastowego dębu
Już zarażone. Władysław za słaby,
Będzie ulegał każdemu, kto tylko
Zechce przewodzić... A Mieszko.. To dziecię
Może wyrosnąć na mściciela ojca..
Tak! drzewo uszło... Konary mu uciąć
I na pniu nową latorośl zaszczepić!

(Wyjmuje pargamin, przygląda mu się długo; potem podpisuje go
i pieczęć swoją przykłada. Zamyśla się i upuszcza go.)

Wszystko skończone. Wyroki zapadły.
Na dniu dzisiejszym, jak drzewi na swej śrubie,
Życie i dzieje skręciły się polskie
I drugą stroną przed Bogiem stanęły.
Co na niej będzie? Jakimi zgłoskami
Bóg dla potomnych swe myśli nakreśli?
Czem ja w tem będę? Nikczemnym czy wielkim?
Czy ja podwoje rozwarłem na oścież
I prąd ożywczy niebiańskich powiewów
Do stęchłych ciemnic mej ziemi wpuściłem?
Czyli niebacznie, w ciemnocie i złości,
Otwór ostatni zamknąłem -- i za nim
Trupa zastanę?
O, gdzież jest prawda, gdzie prawda, mój Boże?
Wszak słowo moje, ruch jeden mej ręki,
Krwia się obleją i klęski sprowadzą,
I tysiąc śmierci okropnych przyniosą...
Gdyś mi dał taką potęgę, o Panie,
Czemuś mię stworzył tak słabym i chwiejnym?
Czemuś mi zabrał tę moc, z którą jeszcze
Przed pół godziną głosiłem z ambony

Wyrok—co zdał mi się Twoim wyrokiem —
I pewną ręką kraj wiodłem ku Tobie?

(żałamuje ręce)

Teraz tej mocy już nie mam, mój Boże!
Niespokojnością i żalem przepelnion,
Nie wiem, co czynić?... Czy iść, czy się cofnąć?

(szepce)

Jeszcze jest pora... Gdy pisma nie wyszlę,
Kłatwę odwołam... Ustąpię z Krakowa...
Cofnąć się może? Przeczekać to wszystko?...
I kroczyć zwolna, łagodząc i kojąc...
I widzieć wszystko, i cierpieć i milczeć..
Uśmiech kłamliwy wywołać na usta...
Zdawać się wszystkim pobłażać... Nadzieje
Żywić zwodnicze?..

(chyląc się coraz bardziej, upada na kolana, przygnębiony)

A potem? A potem?

Znowu wątpliwość i znowu żałości,
I znowu walka?..

(Zakrywa twarz rękoma.—Chwila milczenia.—Wchodzi Brat *Pietrasz*,
młody, wychudły, ascetycznej postaci i włoskich rysów twarzy be-
nedyktyń.—Kłęką o kilka kroków odedrzwi i ręce składa jak do
modlitwy. Znowu chwila milczenia. Biskup wstaje, konwulsyjne
łkanie podnosi mu pierś.)

Appage, Satanas!!

Boże, ratuj mię! On swoje już zrobił,
Spętał mi duszę sieciami zwątpienia...
Lecz ja je zrywam przy Twojej pomocy!

Ide Twą drogą!... Nie! Ja się nie cofnę!
Prędeż się ziemia z posady swej ruszy
I padnie w przepaść, a stropy niebieskie
Na mnie się zwałą — niż ja Cię odstąpię
I wiarę Twoją dam na pośmiewisko!
On żyć nie może, bo Ciebie znieważył,
I żyć nie będzie!...

(sposstrzega benedyktyna)

Już jesteś, mój bracie?

(podchodzi do niego)

Módl się gorąco, by ciebie Bóg nigdy
W życiu z wątpieniem takowem nie dotknął,
Jak mnie w tej chwili... i za mnie się pomódl...

(Brat Pietrasz pochyla się ku ziemi. Biskup bierze porzucony zwój
pargaminu i znowu do niego się zbliża. Gdy ten kończy modlitwę,
oddaje mu pargamin.)

Pismo to oddasz do rąk Wratysława
Króla Czeskiego. Pozdrów go odemnie
Jak mego króla i powiedz, że Bolko
Już nie panuje, więc ja go tu czekam
I wzywam zasiąść na tronie Bolkowym.

(błogosławi go. —Benedyktyn całuje go w rękę, bierze pargamin,
chowa go pod habit, i cofając się wychodzi.)

Oto Bolesław już przestał być królem!
Przyjdzie Wratysław — i ja go namaszczę,
A naród polski z przysięgi rozwiążę...

Moje przekleństwo jak ciemnym obłokiem
Bolkę pokryło i precz go uniosło.

(Wchodzi *Kanclerz.*)

Z czem przychodzicie?

Kanclerz.

Mam ważną wiadomość:
Na naszych gruntach ujęto człowieka,
Który już sobie chatynę zbudował
Pod Baranowem, na wprost Sandomierza.
Choć mu mówiono, że grunt to biskupi,
Lecz on upornie dowodził, że jego,
Że on ma prawo na grunt ten odwieczne,
Z dziada, pradziada..

Biskup.

To jakiś szaleniec...
Z dziada, pradziada! A któż on jest taki?

(zatrzymuje się, jakby tknięty pewną myślą.)

A! chyba...

Kanclerz.

Nagod.

Biskup.

Ah! Nagod to? Nagod?!

Kanclerz.

Tak jest. Zwolniony przez króla Bolśława,
Poszedł siedziby tam szukać, gdzie niegdyś

Jego ojcowie i dziady siedzieli...
Mówił, że miasto to przodków jest jego,
Że on na swoim. Żałobą do króla
Groził włodarzom.

Biskup.

Sprowadzić go tutaj...

Kanclerz.

Jest już sprowadzon. Wierzbęta dzierzawca,
Gdy tylko doznał, że on jest Nagodem,
Zaraz go ujął i tutaj odstawił.

Biskup.

Zakuć i zamknąć go w lochu najgłębszym,
A strzedz jak oka! Ha! żaden więc zbrodzień
Nie ma ujść kary, o Boże zastępów?!
Nie ujdzie żaden!

Kanclerz.

Lecz, ojcze wielebny,
Wieść o ujęciu Nagoda z pewnością
Dojdzie do króla...

Biskup.

Więc cóż?

Kanclerz.

Może przystać

Rozkaz zwolnienia...

Biskup.

A któż go usłucha?

Ja tutaj rządę. Ten stary złoczyńca

Kusił się zabrać kościelną ziemię,
Więc świętokradzko się porwał na kościół,
Więc godzien kary—i musi być skaran.

Kanclerz.

Panie, my spełnim twe wszystkie rozkazy;
Lecz król potężny, na jego wołanie
Woje przybiegną...

Biskup.

Na moje — tron padnie!

(Chwila milczenia.)

Pod zbrojną strażą Nagoda wywieźcie
Ku Proszowicom, — i tam go ćwiertujcie...
A części jego każecie rozwiesić
Wzdłuż brzegów Wisły — a głośić i wołać,
Że tak każdego ksiądz biskup ukarze,
Kto wiarę świętą zbeczcześci, lub kto się
Kłamstwom i zbrodniom pogańskim zaprzeda.

Kanclerz.

Panie wielbny...

Biskup.

A chyżo działajcie,
Aby z królewskich was nikt nie uprzedził
I zbrojną ręką wam więźnia nie odbił.
Odpowiedzialnym was czynię za niego.

Kanclerz.

Słucham twej woli...

(Wchodzi wystraszony *Komornik* i szepce kanclerzowi.)

Biskup.

Gdy walka zaczęta,
To każda kropla mej duszy powstanie,
Każda myśl moja i każde me słowo
W miecz się zamienia!

Kanclerz.

Mój ojciec wielbny...
Stała się rzecz nieszczęśliwa... Naprawdę
Nie wiem, jak mówić...

Biskup.

Powiedźcie....

Kanclerz.

Nieszczęście!

Brat Piotr ujęty!...

Biskup.

Co?!

Kanclerz.

Ledwo wyruszył
Z miasta, gdy napadł nań Wszebór z drużyną—
Bo chyba czyhał, wszystkiego świadomy, —
I pozabierał mu listy, z którymiś
Posłał go, panie...

(Chwila milczenia.—Biskup robi parę kroków zamyślony.)

Biskup.

Przywołać na Skatkę
Brata Hanona... Wy, księżo Kanclerzu,

Drugie mi listy tej treści sporządźcie
Do króla Czechów!

(odchodzi.)

Kanclerz.

Człek to, czy żelazo?!

11-go Kwietnia 1079 r.

Przed Kościołem Św. Michała na Skalce.

(Słychać śpiewy w kościele.—Wychodzą z niego spieszenie *Sieciech*
i *Kanclerz* biskupi.)

Sieciech.

Więc powiadacie, że pozwu nie przyjął?

Kanclerz.

Nie przyjął pozwu, bo nie mógł przyzwolić
Na takie sądy... Czyż sądom królewskim,
Karom królewskim ma biskup podlegać?

Sieciech.

No, to źle wyszedł, że nie chciał się bronić
Król go osądził zaocznie i skazał
Na rozsiekanie...

Kanclerz (*cofa się przerażony*).

On śmiał-by tak zrobić?

Sieciech.

Uprzedź biskupa, niech przerwie modlitwy.
Niechaj do czasu gdziekolwiek się skryje —
Wszebór niedługo przybędzie z wyrokiem...

Kanclerz (*łamie ręce*).

Co mamy czynić?! Nas tutaj tak mało!
— A tak prosiłem, by wojsko wziął z sobą!
Trzeba po wojsko posyłać...

Sieciech.

To próżno!
Wobec drużyny królewskiej co znaczą
Jego zaciężni? Niech rychło uchodzi...
Niechaj się schroni do matki królewskiej...
Prędzej! ..

Kanclerz.

O Boże!...

(wchodzi do kościoła.)

Sieciech.

Ach! Chyba już późno!

(Wchodzi *Wszebór* z drużyną królewską.)

On mszę odprawia!

Wszebór.

A tam sędzia czeka!

Sieciech.

Stójcie! takiego wyroku nie wolno
Spełniać tak rychło!

Wszebór.

Tyś chyba oszalał!

Sieciech.

Zważ, kasztelanie — król może się cofnąć...
To przecie biskup!

Wszebór.

To zdrajca nikczemny!
Wyrok królewski jest święty!... Idź z drogi!

(Otwiera drzwi.—Wnętrze kościółka oświetlone.—Biskup Stanisław klęczy przy ołtarzu. — Wszebór z dobytym mieczem wstępuje do kościoła, drużyna się zatrzymuje wylekła. Śpiew. — Po chwili z kościoła wychodzi *Wszebór*, blade, pomieszany.)

Wszebór.

Sił mi brakuje... Nie mogę... Nie mogę...
Strach mię ogarnia... Od tego człowieka
Bije blask dziwny... Ja tego nie spełnię,
Choćby mię król na kawały porąbał!

(śpiesznie odchodzi, za nim drużyna.)

Sieciech.

Uratowany — odwlekło się jeszcze!...

(Wchodzi do kościoła. — Śpiewy.—Ciemnieje.—Nadciąga chmura.
Zdaleka słyhać grzmoty.—Z kościoła wychodzi *Kanclerz* biskupa.)

Kanclerz.

Poszedł już Wszebór... Ha, dzięki ci, Panie!
Po raz już drugi ocalasz go cudem...

Wierzyć zaczynam, że straszna ta burza
Da się zażegnać...

Ani się ruszył, ni dał sobie mówić...

Trzeba przeczekać, aż skończy ofiarę...

A tak się dłużą dziś modły jak nigdy:

Gdy przed ołtarzem uklęknie, chór dawno

Pienia swe skończy, a on, pochyłony,

Jeszcze się modli...

(uderzenie piorunu)

A Słowo stało się ciałem! Zmituj się,

Boże, nad nami!

Zerwała się burza...

(zamyka drzwi kościoła)

Żebyś mógł tylko, to dziś-bym ten kościół

Dragiem żelaznym zawalił, lub zabił..

(uderzenie piorunu)

Święte zastępy!

(Wbiega *Komornik* królewski.)

Komornik (*z krzykiem.*)

Ratujcie Biskupa!!

Kanclerz (*przestraszony.*)

Co?!

Komornik.

Król tu pędzi!

Kanclerz.

O Boże!

Komornik.

Uciekaj!...

(Kancelarz wybiega. Stuka do drzwi.)

Księżę biskupie! Uciekaj! Uciekaj!
Król cię zabije!...

(uderzenie piorunu)

Uciekaj!... Zabije!

eka.—Chwilowa cisza. Wpada *Król* z mieczem w rękę. Za nim *Wszebór*, który go wstrzymać usiłuje.)

Wszebór.

Królu, mój królu!

Król.

Precz, sługo nikczemny!

Nie miałeś siły wypełnić mej woli —

Myślisz, że będziesz ją miał, by mnie wstrzymać?!

(Odpycha go. Uderza ręką i mieczem w drzwi kościoła.
Grzmiącym głosem.)

Drzwi mi otworzyć!

(Drzwi się otwierają. Światło na chwilę ośniewa króla, który w progu się zatrzymuje. *Biskup* odwraca się do niego od ołtarza.)

Biskup.

Jak śmiesz tutaj wchodzić?

Jam ci zabronił do świątyni wstępować...

Precz ztąd!

(Król wpada do kościoła i biegnie ku biskupowi. Światło na ołtarzu gaśnie. W kościele przeraźliwy krzyk. Wybiega z niego kilkoro *ludzi i księży*. Z nimi *Sieciech*.)

Sieciech (*biegnąc*).

Zabił go, zabił! Ciął w głowę go mieczem!

(ucieka)

Księża (*uciekając*).

Biskup zabity! Zabity!

(Uciekają. — Grzmoty. — Na progu kościoła staje **Król** zdyszany,
z mieczem skrwawionym w ręku.)

Król.

Nieżyje ..

Zdrajcę rozsiekać, jak rzekłem!

Wszebór.

Hej, za mną!

(Wpada do kościoła razem z drużyną, która tymczasem nadbiega
Krzyki i jęki.)

Rynek krakowski.

(*Mieszczanie* i *Mieszczki* stoją grupami; niektórzy gorąco rozprawa-
wiają, inni w ponurem milczeniu. — Kilkoro służby kościelnej
krząta się około kościołów, zamykając takowe i deskami okna za-
bijając. Z boku kilku *Kmieci* i *Wtadyków*.)

Kobieta.

I cóż to będzie?

Kobieta 2-a (*wzdycha*).

Och, ratuj nas, Boże!

Kobieta 3-a.

Wczoraj zamknęli i nasz kościół, luba...
Pono przyjechał z za morza ksiądz jakiś,
Każe kościoły zamykać i króla
Pono przeklina...

Kmieć.

Ej, baby, nie bając!
Włós macie długi, lecz krótkie rozumy...
Ktoby śmiał króla naszego przeklinać?

Kmieć 2-gi.

A jeśli każą kościoły zamykać,
To z woli króla, inako nie będzie —
Z jego to woli...

Kobieta.

On zabił biskupa...

Kmieć.

Wielkie mi rzeczy! Bo klecha go zdradził
Czecha przyzywał na ziemię rodzinną...

Władyka.

W naszym zakonie oddawna tak stoi:
Zdrajców rozsiekać..

Kmieć.

Tak było od wieków..

Kobieta (do innej).

Kumo, słyszałaś? Lasota dziś umarł;
A żona wczoraj dzień cały leżała
U nóg kanclerza, wzywając i prosząc,
Aby z modłami do męża przystąpił..
Nic nie pomogło..

Kobieta 2-a.

Nie przyszedł?

Kobieta.

Nie przyszedł..

(Wchodzi *Kanclerz* biskupa krakowskiego, idzie zwolna przez scenę z głową pochyloną; kobiety klękają na drodze jego, on się nie zatrzymuje.)

Czy widzisz, kumo? Przeżegnać nas nie chce...

Kobieta 2-ga.

Gdzie idzie?

Kobieta.

Pewno do domu Lasotów,
Przec jest im krewny..

(Z bocznego domu wyjeżdża wóz z trumną; za nim kilkoro ludzi i *krewni* zmarłego.)

Szmer w tłumie.

To zwłoki Lasoty,
Zwłoki Lasoty...

(Kancierz zatrzymuje się, zakrywa twarz rękoma i zaczyna płakać.
Żona Lasoty rzuca mu się do nóg.)

Żona Lasoty.

Ojcze, zmiłuj się! Uczynź-że ty łaskę
Swemu staremu druhowi Lasocie!
Pokrop go wodą święconą... Nie chciałeś
Przyjść, gdy cię wołał... Już ciebie nie woła,
Już tylko prosi o świętą mogiłę..
Pozwól pochować go w ziemi święconej!

Kancierz.

Próżno prosicie — nic zrobić nie mogę!
Jako nie mogłem go na śmierć gotować,
Tak dać nie mogę mu świętej ziemicy...
Oj, stary, stary! Więc zmarłeś ty w grzechu,
Bo bez spowiedzi; więc będziesz złożony
Jak zwierzę dzikie na polu szerokiem!
Miast znaków Pańskich nad twoją mogiłą
Będzie wiatr świstał i ptactwo krakało!
Żegnaj, niewinny — a jednak skarany,
Żegnaj, mój bracie cnotliwy i dobry,
A jednak wiecznym katuszom oddany!

(Wóz ze zmarłym odjeżdża. Żonę Lasoty, mdlejącą z płaczu, kobiety podtrzymują i za nią wyprowadzają. Kancierz klęka, twarz rękoma zakrywając. Tłum coraz się powiększa.)

Głosy.

Pełka nadjeżdża... A z nim Arcybiskup...

(W tłumie zamieszanie; ludzie biegną, popychają się. Szmer głuchy i gwar. Wjeżdżają na koniach *Arcybiskup Piotr* i *Pełka*; za nimi orszak duchowny i świecki.)

Arcybiskup.

Stało się wielkie nieszczęście, o dzieci!
Wyrok Piotrowej stolicy wszechwładnej
Zamknął przed nami podwoje świątyni
I sakramentów nam wzbronił udzielać...
Księży nie mamy, nie mamy kościołów,
A teraz, dzieci, nie mamy i króla!
Ten, co był królem, kapłańską krew przelał,
Podczas ofiary, na stopniach ołtarza!
Zbrodnia ta woła o pomstę do nieba...
Ten, co ją spełnił, nie może królować.
Kapłan najwyższy, co w Rzymie panuje,
Zwalnia cię, ludu, od twojej przysięgi,
I z czoła Bolki zdejmuję chryzmata...
Narodzie Lacki — ty króla już nie masz!
Jest zbój i zbrodniarz, siedzący na zamku,
Lecz króla nie ma! To imię — Bolesław —
Stało się równem imieniu szatana.
Bóg się od niego odwrócił, więc ludzie
Niech się nie wążą doń zbliżać przyjaźnie!
Kto mu da jadła, gdy łaknąć on będzie —
Temu przekleństwo!
Kto mu da wody, gdy będzie spragniony —
Temu przekleństwo!

Kto, litościwy, pod dach go swój przyjmie,
Kiedy pioruny i deszcze ulewne
I burze będą nad nim się srożyły,

Temu przekleństwo!

Kto błazącemu drożynę mu wskaże,
Kto go uleczy, gdy będzie niemocny,
Kto go się dotknie, kto słowo mu rzeknie, —
Temu przekleństwo! Przekleństwo!

Orszak.

Przekleństwo!

Pełka.

Tego ja zbrojnym ramieniem doścignę,
I zanim duszę wyzionie dla piekła,
Ja ciało jego na kołach rozepnę,
Na pale wbiję...

(Arcybiskup z orszakiem i Pełką zwołna odjeżdża. Lud przestraszony milczy; kobiety się żegnają, ze strachem na zamek spoglądając.)

Las.

Z boku wejście do niskiej chałupy, mchem i ziele-
nią prawie zakryte.

(*Radoch* siedzi na przyzbie. Wchodzi *Midura*.)

Midura.

Ojcze, jesteście!

Radoch.

A jestem... Grzeję się na słońku... Dobrze już przypiekać zaczyna... Sami przybyliście?

Midura.

Sam. Nie wiecie, co się dzieje w Krakowie?

Radoch.

Albo co?

Midura.

Panowie przeciwko królowi się zbuntowali, słuchać go nie chcą...

Radoch.

O co się zbuntowali?

Midura.

Bo wyklęty przez tego księdza czerwonego, który z za morza przyjeżdżał.

Radoch.

Aha!

(Chwila milczenia.)

Radoch.

Byliście w mieście?

Midura.

A byłem, i byłem na zamku; teraz tam wolno chodzić każdemu... Dziwnie to wszystko patrzy. Król jest i króla nie ma. Siedzi na zamku. Gdy

siedzi — cały zamek napełnia się panami i księżmi, wrogami jego, i nikt im wejścia nie broni, bo żadnej wraždy między nimi a jego Boleszczycami nie ma. Gdy wychodzi—wszystko się od niego odsuwa, odwraca, ucieka...

Radoch.

Koniec jego nastaje...

(wchodzi **Czal.**)

Czal.

Wiecie o wszystkim?

Radoch.

O niczem wiedzieć nie chcę.

Czal.

Nie chcecie? A ty, Miduro?

Midura.

Wiem. Albo co?

Czal.

I stoisz tutaj beczynny?

Midura.

Cóż mam robić?

Czal.

Czy ciebie Bolko zwolnił z jamy? Czy ciebie zwolnił z sądów? Czy tobie dał sprawiedliwość?

Czyś mu życia nie winien?... A ty teraz stoisz tu spokojny, w obec potrzeby jego i biedy jego?... Ja zbieram swoich i ciągnę na panów, a Bolce w pomoc. Za nas on teraz bieduje, my go więc wyratować musimy. (*Odwraca się ku wyjściu.*) Idziesz za mną?

Midura.

Nie mam z kim.

Czał.

A gdzież twoi?

Midura.

Ha! czy ich zbiorę?...

Czał.

Tak mówisz? Toś gorszy od psa, bo i pies pamięta tego, kto go głaszczę i karmi...

Midura.

Czekaj... nie odchodź..

Czał.

Nie jestem czasowy. Bolko nie pytał i nie czekał, tylko szedł..

Radoch.

Na nas szedł..

Czał.

Nie odkładał, tylko ratował...

Radoch.

Nie nas ratował...

Czal.

A kogo? kogo?

Radoch

Swoją dumę królewską...

Czal.

Bo iście mu się ta duma należy. Jeśli kto ma być królem nad nami, to tylko Bolko.

Radoch.

No, a jeśli nie ma być królów wcale?

Czal.

To ty o tem marzysz?

Radoch.

A tyś o tem zapomniał? Toś gorszy od psa, bo i ten swojego domostwa broni...

Czal.

A to sobie broń swoich moczarów i swej chałupy podziemnej!... Ja idę do Bolki.

(odchodzi.)

Radoch.

Poszedł?

Midura.

Poszedł.

Radoch (*smulno*).

Zginęła nasza wiara, zginęła nasza wola! Oj, mądrze się oni do tego biorą, mądrze! Siłą, i krwią, i ogniem wskórać nic nie mogli. Teraz nas Bolko miłosierdziem na śmierć uranił, sprawiedliwością zabił, wdzięcznością podzielił!... Połowa nas tylko już została, a i z tej połowy jeszcze połowa zbiegnie za lada pieniądz, za lada kasek jaki. Zwalczył nas Bolko tem, że nas wolno puścił — niech go przeklnie za to rodzima ziemia!... Miduro, jeszcześ nie poszedł?

Midura.

Nie pójdę wcale. Co mi do nich?

Radoch.

Bodaj-by wszyscy w tej kłótni co do jednego poginęli!..

(wstaje)

Chodźmy... Nie dużo Czał ludzi zbierze za Bolkę... Chodźmy...

(wychodzą.)

Sala tronowa na zamku krakowskim.

(Wchodzą *Sieciech* i *Pełka*.)

Sieciech.

Z wolnością naszą i wasza też córka
Wolność odzyska... Lecz strzeżcie się Bolki,

Nie pokazujcie mu dziś się na oczy:
On wprost oszalał, bo pieni się, rzuca,
Gotów was zabić...

Pełka.

Co Herman powiedział?

Sieciech.

Wymógł, by jeszcze raz wszyscy panowie
Szli do Bolstawa..

Pełka.

A kiedyż tym prośbom
Koniec nastanie? Zanadto-śmy korni.
Miecz albo powróż wystarczył-by snadnie,
Miast tych prośb długich.

Sieciech.

Inaczej Władysław
Nie chce się imać korony braterskiej.

Pełka (*patrzy w okno i odstępuje*).

Ha! Co się tego tu kmieństwa zebrało!
Czy nie przeceniasz ty sił swych, Sieciechu?

Sieciech (*z uśmiechem*).

Nic się nie bójcie. To kmieństwo nie straszne...
Datkiem i strachem zrobiliśmy tyle,
Że swego Czala nam w łykach wydali...
To stado pójdzie za każdym, kto tylko
Będzie chciał tego.

Pełka (*podnosi pięść ku tronowi*).

Ha! tyś mógł zbezczęścić
Dom mój, mógł zabić świętego biskupa,
Bolku przeklęty!—Więc giń za to marnie!
Obym ja śmierci twej sprosnej doczekał,
Bom krwią i łzami już modlił się o nią!

(*Odchodzą oboje.—Po chwili wpada **Bolesław** i biegnie do okna.*)

Bolesław.

Ciągną nakoniec! Skończyły się przecie
Dnie mej niewoli! Tam wojsko się roi,
Wierne me wojsko! O złote mrowisko!
Ćma moja miła! Ha, taka ich mnogość!
Cała dolina zalęgła szaremi
Kmieci świtami... O, szare te świty
Droższe mi stokroć od srebrnych bławatów!
Leciał-bym do nich, w tem morzu człowieczem
Chciał-bym się skąpać!... O chodź tu, motłochu,
Chodź, twego króla od panów ratować!

(*Niepostrzeżony wchodzi **Wszebór** i staje za nim.*)

A w mieście spokój — i bram nie zamknięto..
Czerń się leniwie rozłazi... Ha, przebóg!
Wchodzą do miasta... Nikt wejścia nie broni..
Co się to stało?!

(*obraca się*

Wszeborze?!

Wszebór.

Żle, królu!

Wszystko zginęło. Ten motłoch nikizemny

Zdradził nas podle. Panowie i księża
Tak ich zdurzyli namową i groźbą,
Że nikt za ciebie z nich bić się już nie chce...

(Bolesław porywa miecz i wybiega.)

Pobiegł... Tak pilno mu hańbę swą widzieć...
Hej tam! Drużyńce! Rozeszli się wszyscy...
Hej, komornicy!...

(Wchodzi *Krystyna*.)

Krystyna.

Co stało się, Wszebór?

Wszebór.

Koniec nadchodzi...

Krystyna.

O ratuj nas. Boże!

(Wchodzi *Wisława*.)

Wisława.

Wszebór! Biegajcie do króla! Ratujcie!...
Tłum go otoczył...

(Załamuje ręce.—Wszebór wybiega.)

Matko Najświętsza! Zmiłuj się nad nami!

Krystyna (*rzuca się jej do nóg*).

A ty się zmiłuj nademną, królowo!
O, nie odwracaj oblicza, nie cofaj
Kroku przedemną! O przebacz mi, przebacz!

(Chce ją ująć za ręce. Wisława ją odtrąca.)

Wisława.

Precz! precz odemnie, nikičemna! Zdaleka!
Nie waz się hańbić mnie swoim dotknięciem!

Krystyna *(na kolanach)*.

I Bóg grzesznicy przebaczył, królowo...
A ty mi nie chcesz przebaczyć...

Wisława.

Bom nie Bóg!

Bo ta grzesznica nic Bogu nie wzięła, —
A tyś mi mego małżonka zabrała,
Z tronuś zepchnęła, z świetlicyś wyгнаła,
Tyś wyrzuciła mię z łoża mojego!...
Idź precz odemnie, bo ciebie rozszarpię!

Krystyna.

«Czynię co mogę: w pokorze przed tobą
Kajam się, idę za kratę klasztorną —
Ja ztąd wychodzę przed ołtarz, na zawsze,
Na wieczne modły... Ja wszystko zostawiam...
Klękam przed tobą .. Cóż czynić mam jeszcze?

Wisława.

«O Boże, Boże! Zabrała mi męża,
Dziecku mojemu rodzica wydarła,
Króla krajowi ukradła — i teraz
Idzie Ci służyć przed czysty Twój ołtarz?!
I Ty ją przyjmiesz? Ty gromu nie spuścisz
Na tę zhańbioną, bezwstydną tę głowę?!...»

Krystyna.

O, co ty mówisz!

Wisława.

Ty cofasz się teraz,
Teraz odchodzisz, gdy widzisz, że upadł,
Że jest bezsilny, i biedny, i nędzny...
Póki był możny, tyś go się trzymała,
Teraz, gdy w prochu, ty mnie go oddajesz!
O Boże wielki! nie! ty nie oddajesz,
Ty tylko rzucasz, ty tylko opuszczasz!

Krystyna.

O przebac, przebac!

Wisława.

A za co przebaczę?
Za to, żeś cała w rozkoszach tonęła
Tam, gdzie nie miałam ja ich ani pyłka?

(przechyla się ku niej, chwyta ją za ramiona)

Czy ty wiesz o tem, że każdy twój chychot
Pruł mię jak nożem? Że każda noc była
Dla mnie wiecznością i łzami i męką?
Czy to rozumiesz?! O bądź ty przeklęta!

(odtrąca ją.)

Krystyna.

Cofnij przekleństwo! O nie mów tak, nie mów!

Wisława (odstępuje).

Nie! nie! Przeklinam! przeklinam! I gdyby
Za to mię oddał Bóg mękom piekielnym,
Jeszcze-bym ztamtąd cię łżyła i klęła!

Krystyna (*z krzykiem wstaje*).

Król!!

Wisława.

Bolesławie?!

(Wchodzi *Bolesław* w ubraniu zbrukanem i poszarpanem, ze śladami błota na twarzy. Włosy w nieładzie, oczy obłąkane, z trudnością oddycha, idzie chwiejnym krokiem, mówiąc jak nieprzytomny.

(Upada na krzesło tronowe, miota się na niem rozpaczliwie.)

Bolesław.

Mówić nie dali... Zatkali mi błotem

Usta... Kamienie mi w głowę ciskali...

Miecz mi wyrwali... Bili mię... chłostali...

(Upada prawie bez czucia, rękoma sobie twarz zasłaniając. Wisława klęka przy nim z załamanymi rękoma. Krystyna stoi pżerażona. Po krótkiej chwili milczenia wchodzi *Arcybiskup*, *Władysław Herman*, *Sieciech*, *Petka* i inni *panowie*. Władysław biegnie do króla, stara się go podtrzymać.)

Władysław.

O bracie miły!...

Bolesław (*patrzy na wpół przytomnym wzrokiem dokoła*).

Zleciały się kruki

Na moje ścierwo...

Arcybiskup.

Miłościwy panie...

Racz nas wysłuchać. Przychodzimy do ciebie

Z prośbą pokorną i z wielkiem błaganiem.

Bolesław.

Do mnie z błaganiem?! Ha! Przecie! Nakoniec!
Hej! komornicy! przystawy! pacholki!
Koronę, berło i płaszcz mój królewski!
Tak-em już dawno błagania nie słyszał,
Ni prośby żadnej — że tę chciał-bym uczcić
I słuchać o niej w całym majestacie!

(zrywa z siebie ubranie)

Precz z tem ubranie zbłoconem i zdartem!
Dajcie mi płaszcz mój! o, dajcie purpurę!
Ludzie, oddajcie mi moją koronę,
Wywleczcie z błota cześć moją królewską!

Arcybiskup.

Korony twojej, o królu Bolesławie,
Nikt dotknąć nie śmie — tu leży, przed tobą:
Tylko się schylić, a będzie znów twoją.
Więc klęknij, panie, ukorz się i kajaj,
A z klęczek wstaniesz silniejszym i większym,
I naród cały za tobą znów pójdzie.

Władysław Herman.

Królu i bracie! Wysłuchaj prośb naszych...
My ciebie chcemy i nadal mieć królem;
Wespół z narodem my wszyscy, jak jeden,
Staniem za tobą w obliczu papieża —
Lecz ty się ukorz i uznaj swe winy!
Broń nas jak ojciec, oszczędzaj i prowadź,
Jak ojciec — złóż nam ze siebie ofiarę!

Głosy.

Uczyń tak, panie! Poselstwo do Rzymu
Wyslij pokutne! Ukorz się Rzymowi!

Bolesław.

Milczcie, nikczemni! Kto nadał wam prawo
Stawać pomiędzy królami a Bogiem?
Milczcie! Wy błazny! Wy, jako te łątki,
Tak się ruszacie, jak pchają was mistrze...
Wyście nie króle! Wy miarą purpury
Zmierzyć człowieka nie w stanie jesteście.
Wy tylko ludzie. Do naszych rachunków
Z Bogiem za świadka was nikt nie powoła!
Jeśli to grom był — nie z waszej sprzedanej
Wpadł on ręki — więc zdala od niego,
Zdala! I ztamtąd ze strachem i drżeniem
Patrzcie na te wielkoludów zapasy!
Precz! Jam jest król wasz, ja za was stanowią ..
Jam wzrósł na tronie i umrę na tronie!

Pełka.

O ileż łatwiej ci z tronu spaść przyjdzie,
Jak u nóg czerni, w kurzawie się tarzać...

Bolesław.

Ha! błoto, razy te całą mą przeszłość
Starty, zmasały, zabiły! ..

Nieprawda!

Nie ja tam byłem, u nóg tej gawiedzi!
Nie jam jej błagał o pomoc! Nie! Gdybym
Żądał pomocy — to wszystkie zwycięstwa,

Z czterech stron świata — strzałami złotemi
Na me wezwanie zleciały-by do mnie!
O, jam nie wiedział, co czynił! Jam szalał!
Szału nie sądzcie!... Niech nikt go nie sądzi!
Oh, ja i teraz ich zebrać nie mogę,
Tych myśli moich....

Pełka.

Krystyno, chodź ze mną...

Bolesław (*zrywa się*).

Ha! Tędy zmierzasz?

(porywa Krystynę, rzuca ją na tron, przykrywa połą purpury)

I któż świętokradzki
Będzie śmiał dotknąć purpury królewskiej?!
Póki ja żyję, korona i ona,
Obie są moje! Nikt mi ich nie wydrze...
Precz! bo i was jak tamtego rozsiekam!

(biegnie do ściany, porywa z niej miecz i znowu staje na tronie)

Każdy krok naprzód śmiertelnym wam będzie!
Hej, szalonemu się nie nadstawiajcie...

(Panowie cofają się przerażeni. Bolesław stoi z mieczem podniesionym. Wisława pochyla się do ziemi zemdlną.)

Krystyna.

Ojcze!

Pełka.

Szatanie! oddaj moją córkę!

(rzuca się z mieczem na Bolesława; panowie go wstrzymują.)

Arcybiskup.

Pełko!

Bolesław (*prawie nieprzytomny, trzymając Kry-
stynę w objęciu*).

Na tronie tyś moją, na wieki!
Ty—i korona! Was dwie pozostało...
Obie są moje — i moje do śmierci!...

**Gospoda Arcybiskupa Gnieźnieńskiego
w Krakowie.**

(Noc. *Arcybiskup* siedzi przy stole zadumany. Wchodzi *Pełka*.)

Arcybiskup (*jakby zbudzony*).

Wy, wojewodo?

Pełka.

Już północ minęła.

Arcybiskup.

Straszne jest, *Pełko*, to wasze przybycie...
Miałem nadzieję...

Pełka.

Czy z nami idziecie?

Arcybiskup.

Czy to jedyny jest sposób na niego?

Pełka.

Dajcie nam inny — a za nim pójdziemy.

Arcybiskup.

Nie mam innego...

Pełka.

Bo nie ma innego!

Kajać się nie chce, i nie chce ustąpić...

To widmo krwawe ma-ż wiecznie zasiadać

Na naszym tronie? Nie mamy-ż mieć prawa

Siłą go zeprzeć, gdy z woli iść nie chce?

Čóż mamy począć?

(milczenie)

Wy jeszcze milczycie?

Arcybiskup.

Takie się rzeczy w pędności nie robią...

Pełka (*niecierpliwie*).

Mieliście przecie dwa dni do namysłu...

Tak — albo nie tak?

Arcybiskup.

Innych sposobów na niego nie macie?

Pełka.

Nie!

Arcybiskup.

Więc przystaję na wasze namowy.

Pełka.

Was brakowało jedynie nam dotąd.
Nie jako zbóje, nie z zemsty lub z chuci,
Mamy to czynić, lecz z prawa i z woli
Panów powszechnej, duchownych i świeckich,
Jako sędziowie i jako ojczyce
Tej ziemi naszej wyklętej i trwożnej...,
Z naszych wyroków śmierć Bolko poniesie...
Nocy dzisiejszej oprawców mu szlemy,
I z nimi sami idziemy — niech widzi,
Czyja go ręka pozbawia żywota...

Arcybiskup.

Książę Władysław czy wie o tem wszystkim?

Pełka.

Nie wie o niczem, i wiedzieć nie będzie,
Bo by poleciał bratu ku pomocy.

Arcybiskup (*wstaje*).

Więc naszym królem Władysław zostanie.

Pełka.

Tak. Bolko zginie, a Mieszka nie chcemy:
Cały wyklęty ten ród niechaj będzie
Zdała od tronu — chociażby miał zginąć.

Lub uschnąć marnie! A niechaj krew jego —
Jeśli niewinna — niech na nas się zleje,
Na synów naszych i wnuków najdalszych!

(wychodzą.)

Sypialna komnata Bolesława.

Z boku małe drzwi; w głębi podwoje do innych pokoi.—Noc.—Jedna lampa pali się na stoliku przy łożu.

(*Bolesław* śpi na łożu. Wchodzi *Wszebór*.)

Wszebór (staje przed królem z załamanymi rękami,
milczy chwilę).

Biedny mój królu! Na ciebie się patrzy,
Jak na skazańca .. Dopóki ja żyję —
Będę cię bronił; lecz jeśli nie stanie
Ni mnie, ni kilku tych marnych drużyców,
Wiernych ci jeszcze, kto ciebie natenczas,
Kto cię obroni?

Odchodząc, ja co raz
Żegnam cię, królu, bom jutra nie pewny.

(przyklęka i ostrożnie całuje zwieszoną rękę Bolesława)

Śpij, póki ja jeszcze czuwam nad tobą!

(Odchodzi. Podwoje zostają na wpół otwarte; dalsze pokoje ciemne —
Po krótkiej chwili błyska tam światło, które zaraz gaśnie. Sły-
chać głośny krzyk Wszehora.)

Wszehór.

Królu! Na pomoc! Królu, zbudź się! Królu!

(Słychać walkę. Król się zrywa.)

Bolesław.

Co to jest? Krzyki?...

(Przysłuchuje się. Cisza.)

Cisza... Śpią wszyscy... To było w marzeniu...

(nawpół kładzie się znowu na łożu)

Śniłem, że jestem w Kijowie, że tłumy
Mnie otaczają, na cześć moją krzyczą...
Ten krzyk mię zbudził... O, on-by mię podniósł
Z trumny zakutej!...

(po chwili)

Cisza grobowa, samotność grobowa...
Jakieś ciężary olbrzymie upadły
Na moje piersi... Ja nie wiem, co czynić...
Czas stanął wryty — a ja muszę czekać!
Bo coś nastąpi, co, jak wiatr z pod chmury,
Wszystko rozbije, podniesie lub strąci...

Tak chciał-bym zasnąć na długo, na lata,
Na lata całe, i zbudzić się tylko,
Gdy to wezbranie opadnie...

(W przyległej sali słyhać szmer kroków.—Bolesław odwraca prędko lampę, tak, że sam zostaje w cieniu, światło zaś pada na podwoje.)

Ktoś idzie...

(Chwila milczenia.—Z podwoi wysuwa się, prawie się czolgając, *Kat*, człowiek olbrzymiego wzrostu, w pokrwawionej sukni, z maczugą i siekierą skrwawioną w rękę. Szuka oczami króla, spostrzega go leżącego, skrada się do niego.—Bolesław prędko podnosi się, chwytając za miecz, nad łóżem zawieszony, lecz go zerwać nie może.)

Miecz przywiązany?!

(Zrywa się, unika uderzenia kata, rzuca mu stołek pod nogi. *Kat* traci równowagę; Bolesław rzuca się na niego, wyrывa mu z rąk siekiere.)

Ha, jesteś! psie podły!

Kat.

Puść mię! Ja ciebie nie miałem zabijać...
Tylko cię związać... Pomocy! pomocy!

(Wpada dwóch jego pomocników; rzucają się na króla. — Rozpaczliwa i długa walka. Bolesław uderza jednego z napastników siekierą, ten upada; kata chwytają za gardło, broniąc się drugą ręką.)

Bolesław.

Wszebór! Tu do mnie!

Kat.

On dusi mnie... Ratuj!

(Podczas walki dalsze sale rżęsiście się oświetlają pochodniami
Widać w nich panów.)

Bolesław.

Wszebór! Hej, Wszebór!

(Podwoje szeroko się otwierają. — Wchodzą *Arcybiskup, Pełka, Sie-
ciech* i inni *panowie*. Pośród nich, w głębi, *Wizna*.)

A! kaci wielmożni!

I wy jesteście?

Arcybiskup.

Cofnijcie się, ludzie.

(Kat z pomocnikiem odchodzi, wynosząc zabitego.)

Myśmy cię na śmierć skazali, Bolesławie;
Ludzie ci mieli nasz wyrok wykonać...
We trzech nie mogli — za chwilę ich przyjdzie
Jeszcze dziesięciu i jeszcze dwudziestu...

Bolesław.

A gdzie jest Wszebór i moja drużyna?

Arcybiskup.

Wszebór zabity, bo chciał ciebie bronić;
Strzemieńce zbiegli, Jastrzębie to samo;

Reszta zakuta... Tyś jeden pozostał,
Tyś w naszym ręku — i na śmierć skazany...

Bolesław.

Na śmierć skazany? A któż tu jest taki,
Kto króla swego ośmielił się skazać?

Arcybiskup.

My wszyscy razem, starszyzna ziemiańska,
Rada najwyższa duchowna i świecka,
Myśmy wyrokiem to swoim orzekli:
Masz zrzec się tronu, lub śmierć ciebie czeka;
Uchodź z królestwa po własnej swej woli,
Albo dasz gardło, bo — tak czy inaczej —
Dziś nastał koniec twojemu władaniu.

Bolesław.

I wy myślicie, że ja was usłucham?
Że was się złękę? przed wami ustąpię?
Ja, com sto razy śmierć widział z oblicza,
Com miał wrogami nie was, niewolnicy,
Lecz samych królów, — com swoją prawicą
Trony stanowił i trony wywracał, —
Miał-bym sromotnie ustąpić przed wami,
Coście niedawno u nóg mych leżeli,
Kurz z mych trzewików ustami zgarniali?!
Chyba już szła waszą pamięć przytłumił!
Ja się nie złękę ni siły ni zdrady!
Wasza to ręka zdradziecka przykuła
Miecz mój do ściany, — to może i lepiej:
Dotąd królowie go wasi szczerbili

Na karkach wrogów, miał-że by się zmasać
Dziś krwią biskupów i panów mej rady?
Nie, tak nie będzie! Jam raz go zbeczcześcił
Zdrajcy posoką, — lecz krew i tamtego
Nie była taką nikczemną, jak wasza:
Wyście nie warci uczciwego miecza,
Niech wisi zdrowo!
Na zbójców mam tu zbójceją siekierę!
Szlijcie oprawców, lub sami przystąpcie!
Mam siły dosyć, podołam wam wszystkim!
Ja ztąd nie ruszę, z tych moich stanowisk
Nie zbiegnę podle!... Zabijcie mię, bierzcie!
Słomą obłożcie to moje łożysko,
Żywcem mię spalcie! Bo, jak-em powiedział,
Ja ztąd nie ruszę!

Wizna (*pośród panów*).

Oh! oh! Bolesławie!

Bolesław.

Kto woła? Wizna? I ty między nimi?
Wizno, ty między zabójcami mymi?

(Panowie się rozstępują; Wizna stoi, oczy sobie rękoma zakrywając.)

Wizna.

Ty musisz umrzeć... I ja tu przychodzę
Na śmierć twą patrzeć...

Bolesław (*cofa się*.)

Ty?!

Wizna.

Ja, bom piastował
Dziecię królewskie, nie zbója klętego!
O głupi stary! Dla czego nie przeczul
Zbója w tem dziecku! Dla czego, przed laty,
Jam mu głowiny o mur nie rozwalił?!
O Bolku, Bolku! Coś z sobą uczynił?
Coś z nami zrobił? Snadź nasze przewiny
Wielkie przed Bogiem, gdy on nas ukarał
W naszym najlepszym, w największym — bo
[w tobie!
Gdzieżeś ty, Bolku? Tu mara tva stoi,
Mara nikczemna, piekielna i krwawa,
Trup twój cuchnący, co kraj swój zaraża!
O gdzieżeś, gdzieżeś?!

(Zakrywa twarz rękoma i pośród ogólnej ciszy zaczyna szlochać.)

Bolesław.

Dla czego przeklinasz?
Jam zdrajcę karał...

Wizna.

I dobrześ uczynił!...
Lecz tyś wyklęty, tyś jest potępiony,
Tyś pozamykał podwoje kościołów,
Ty trupów naszych nie dajesz nam grzebać,
Ty między Bogiem a nami stanąłeś,
Ty naszym duszom śmierć niesiesz wieczystą!
Ty musisz umrzeć... O bracia, o bracia,
Oto ja wam na ofiarę go daję!

Z mego wyroku zabierzcie go, z rąk mych
Bierzcie! Śmierć jego potrzebna... Niech ginie!...

(robi kilka kroków naprzód)

Ja ciebie na śmierć skazuję! A wiesz-że
Ty, co to znaczy! Czy czujesz ty, Bolku,
Że, dając cię, ja serce swe daję,
Że resztek życia wyrzekam się mego,
Że twojej śmierci o dzień nie przeżyję?!

(głosem pełnym łez)

Bolku, ty umrzesz, czy tu, czy gdy pójdziesz.
Bo okrom tronu nie ma ci na ziemi
Miejsca żadnego — a tronuś pozbawion...
Ty musisz umrzeć!...

(chwyta go za rękę, szepce)

Bo, słuchaj! nie wąż się
Prosić papieża... Inaczej... inaczej...
Ja nie zapłacę po tobie, gdy teraz...
Teraz, o teraz...

(rozkrzyżowuje ręce prawie omdlały)

Trzymajcie mię, ludzie,
Bo klękę przed nim, bo do nóg mu padnę,
Bo dzisiaj cały we łzach się rozpląnę!

(Zaczyna płakać spazmatycznie; panowie go podtrzymują. — Wchodzi *Wisława*, prowadzona przez *Opatą Mongosza*. Za nią *Mieszko* bojaźliwie jej sukni się trzyma. — Zobaczywszy *Bolesława*, stojącego naprzeciw panów z siekierą w ręku, *Wisława* prędko podchodzi do niego i klęka przy nim.)

Wisława.

Tu moje miejsce, przy mężu i królu...
Macie go zabić, zabijcie mnie razem!

Opat (*podchodzi do Bolesława*).

Niosę poselstwo od matki twej, panie.
Sama przed tobą-by stanąć nie mogła,
Bo jej spowiednik zabronił rozmowy
Z synem wyklętym...

Bolesław.

I matka posłuszna!?
Więc to dla tego na moje poselstwa
Matka milczała?

Opat.

Matka się bała kościoła obrazić..
Nie miej jej za złe, bo ona stokrotnie
Większej boleści doznaje niż twoja.
W celi zamknięta, nocami i dniami
Ona się modli; kolana jej spuchły
Od ciągłych klęczeń, pierś wyschła od westchnień,
Oczy, od łez zakrwawione, przestały
Widzieć jak dawniej, schorzałe, cofnięte
W zwiędłe oblicze... I gdyby tu przyszła.
Pewno-by zmarła na progu komnaty,
Nic nie wyrzekłszy...
Nie mogąc sama, królowa przezemnie
Szle ci swój wyrok: Idź w świat, Bolesławie,
Idź w świat szeroki! Ostatnią ofiarę

Złóż narodowi: nie daj mu się zmacać
Krwia swego króla, lub zhańbić wyrokiem
Na tego, co jej pół świata zwojował...
Odejdź bez walki. Tyś ojcem swej ziemi;
Nieraz swą pierś broniłeś jej życia,
Swego nie szczczędając... Dziś, w wielkiej potrzebie
Gdy zagrożona jej cześć jest, ty swoją
Ratuj ją cześcią! Po woli swej ustąp,
Oddal się, zbiegnij, splam siebie tchórzostwem,
Przeżyj to „dzisiaj“, tak ciężkie i straszne,
I złóż je w darze twojemu ludowi!
Stokroć ci łatwiej było-by tu umrzeć,
I stokroć trudniej dzisiejszy dzień przeżyć;
Lecz gdy z tą ciężką ofiarą złączona
Cześć twej ziemicy — więc przyjm ją na siebie!
Tak ci przezemnie głos matki twej mówi...

Wizja (u nóg króla).

Bolku! Usłuchaj wołania twej matki!

(Chwila milczenia.)

Bolesław.

I ty, i matka... Wy również nie chcecie
Mieć mnie na tronie? Ha, chyba więc iście
Jam godzin śmierci i godzin przekleństwa!
Ja się spóźniłem: ja umrzeć musiałem
W tym dniu piekielnym, gdy wszystkie nadzieje
Moje runęły... Nie zmarłem jednakże...
O, bom ja mocny! Rodziła mię matka

Na długie lata mej służby królewskiej!...
Dziś się skończyła ta służba... Stałem
Dzisiaj u kresu...

Czyż cały naród przez wasze mi usta
Wyrok ogłasza?

Arcybiskup.

Lud cię zbezczescił, panowie skazali.

Bolesław.

Tak, cały naród! O jakże ma krótką
Pamięć mój naród, gdy mi pozazdrościł
Tych kilku piędzi rodzimej ziemi
Przy grobie ojca! Jam tyle zwojował,
Że muszę szukać gdzieś swojej mogiły
Bardzo daleko — by nie ledz w ojczyźnie!

(po krótkiej chwili milczenia)

Ha, niech się stanie, jak rzekłaś ty, matko...

(po chwili)

Spełniam wasz wyrok, panowie wielmożni —
Składam koronę...

(podchodzi ku bocznym drzwiczkom)

Wychodź ztąd, Krystyno...

(Na progu staje *Krystyna*, poblądła i wychudła. Bolesław bierze ją
za rękę.)

Krysto, dziś nastał kres twojej niewoli...
Ja ztąd odchodzę. Śród ludzi zaginę,
Jak kamień w wodzie... Bo nie ma już króla.
Jest tylko tułacz, wygnaniec bezdomy,
Jest Bolko-żebrak, bez miana, przeklęty...
Ale ten tułacz, to twój Bolko, Krysto...
Jak, będąc królem, dał tron ci i państwo, —
Siebie całego; tak dzisiaj ci daje
Sakwy płócienne i życie żebracze,
Wszystko co ma — również siebie całego...
Chodźmy....

Pełka (*wyciąga ręce*).

Krystyno!

Krystyna (*rzuca się ku Pełce*).

O ratuj mię, ojczy! —
Ratuj od niego!

(tuli się do jego kolan.)

Pełka (*ściska ją w objęciach*).

Tyś moja jedyna,
Moja ostatnia!

Bolesław.

Krystyno!

Krystyna.

Nie wołaj!

Bolesław.

Krysto, na Boga!

Krystyna.

Tyś więził mię, męczył,
Tyś mi już obmierzył! Ja nie chcę cię więcej!

Bolesław.

Krysto, co mówisz?!

Krystyna.

Uprowadź mię, ojcze!
Bo on mię siłą znów gotów pochwycić!

Pełka.

Dajcie mi drogę... Precz od niej, szalony!

(Odchodzi z Krystyną. Bolesław stoi oniemiały, z rękoma wyciągniętymi.)

Bolesław.

Ani jednego wejrzenia...

(milczenie.)

Arcybiskup.

O panie,
Idźcie do Rzymu, ukorzcie się Bogu;
On was rozgrzeszy i boleść ukoi...

Bolesław (*stoi chwilę milczący; potem podnosi głowę*).

Wyście me życie na dwoje rozcięli:
Tamto, co przeszło, jest wasze — zabierzcie,

Pastwcie się nad niem, przed wami je rzucam ;
To, co nastąpi, jest moje — od tego
Wszyscy zdaleka!

(do Wizny)

Ty, stary, bądź zdrowy...
Tyś mym zabójcą Niechaj tobie tego
Bóg nie pamięta...

Wizna.

A czyżem oszczędzał
Siebie samego? Twe każde cierpienie
Jest moim bólem i mojem cierpieniem!

(obejmuje mu kolana, król się przechyla i całuje go w głowę.)

Mieszko (*obejmując matkę*).

Matko, bądź zdrowa..

Wisława.

Co mówisz ty, synu?

(Mieszko przeciska się ku królowi, chwytając jego rękę i tuli ją do siebie.)

Mieszko.

Tato, ja z wami!

Bolesław.

Co ? ty, ty?!

Mieszko (*czepia go się rozpaczliwie*).

Ja z wami!

Weźcie mię z sobą!

Bolesław.

Co? synu!

Mieszko.

O weźcie!

Na koniec świata ja pójdę za wami!
Tato, mój tato! Ja bronić was będę!
Weźcie mnie z sobą!

Bolesław.

O synu mój, synu!

(podnosi go, stawia na krzesło; łzy mu płyną po twarzy.)

Synu mój!...

(Tuli się do dziecka. Mieszko obejmuje go za głowę. Bolesław głośno lka.)

Mieszko (*placząc*).

Tato, ja wszędzie za wami...
Ja mam już siły, ja będę was bronił...

(przez chwilę słychać tylko łkanie króla.)

Wisława (*do Wisławy, zatamując ręce*).

Pani, co czynić? Gdy Mieszko ztąd pójdzie,
Tron swój utraci...

Wisława.

A któż-by miał serce
Zabrać mu syna? O, patrz, jak on płacze,
Patrz, jak go objął, jak tuli do siebie!
O, niech go bierze — on jeden mu został...

Bolesław (*nieco spokojniejszy*).

Chodźmy, mój synu... Wyplaczem się później,
Gdy będziem w lesie...

Mieszko (*całuje matkę po rękach*).

Żegnajcie, matulu!
Ja i was kocham, lecz z ojcem iść muszę...

Wisława.

Niech ciebie Bóg błogosławi, dziecino!

(ściska go i błogosławi)

Jeśli boleści wam zmniejszy to dziecię, —
Weźcie je, królu...

Bolesław.

Bóg wam to nagrodzi...
Chodźmy, mój synu...

(Bierze Mieszka za rękę. Panowie rozstępują się w milczeniu. —
Bolesław z Mieszkiem wychodzi.)

Wizna (*u nóg królowej*.)

Straciliśmy wszystko!!





Drukarnia S. Sikorskiego
Warszawa, Chmielna 11.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68 63, 26-62-31 w. 42

F
2034